Nr. 42 (1086). Warszawa, dnia 6 (19) Października 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

WSZECHNIEMCY.

Wylęgli się w Czechach, tam też się plenią, a plenności swej dopiero w tegorocznych wyborach do sejmu czeskiego dowiedli już w sposób przerażający. Lat temu niespełna dziesięć jedynym „wszechniemcem“ w Austryi był Schönerer, właściciel dóbr ziemskich w krajach korony czeskiej, o którym późna zapewne dopiero historya powie, czy go nie łączyły węzły ścisłego porozumienia z Bismarckiem, pozwalające go już uważać za narzędzie wewnętrznego rozkładu Austryi, przez wiernego jej sprzymierzeńca użyte. Pięć lat temu było wszechniemców w Wiedniu już trzech: Schönerer, Iro i Wolf. Burze w Izbie deputowanych austryackiej Rady państwa sprzyjały rozrostowi; tolerancya Koerbera dostarczyła mu pomyślnych warunków; znużenie i sobkostwo znacznej liczby obywatelstwa w Czechach ułatwiły proces rozwojowy; niewątpliwie dogodną była i zmiana ordynacyi wyborczej przez sejm pruski w ostatniej kadencyi uchwalona — i z tego wszystkiego wytworzyła się okazała już, względnie i bezwzględnie groźna, liczba dwudziestu pięciu wszechniemców, przewidywana w ostatecznym wyniku przez *N. fr. Presse*, która jeszcze patrzy na stronnictwo Schönerera-Wolfa jako na obcych, nie przyznaje się do nich — aż do czasu, a dla przewidywania swego znajdzie niezawodnie już prawie potwierdzenie w rzeczywistości.

Tegoroczne wybory w Czechach dają żywy dowód kiełkowania nowych żądz i pojęć politycznych na gruncie wewnętrznego życia kraju i walki dwu zamieszkujących go narodowości. Niema jeszcze ostatecznych wyników z tych dwu kuryj, w których dotychczas wyborcy stawali do urn, ale te liczby pewne, które już są, pozwalają na wytworzenie sobie obrazu całkowitej umysłowości politycznej, wstrząsającej i Niemców i Czechów. D. 8 b. m. w kuryi drobnej własności ziemskiej, złożonej z ludu wiejskiego, po raz pierwszy od wprowadzenia samorządu wybierano bezpośrednio, nie przez wybrane umyślnie zgromadzenia wyborcze. Nowość niewątpliwie wywołała słabe uczestnictwo, bo lud na roli nie rwie się do swobód, a niedowierza wszystkiemu, czego już nie doświadczył. Nie wolno jednak z tej małej liczby głosujących wyprowadzić wniosków o małej też doniosłości, o nieistotności samych prądów umysłowych, które ujawniły się w wybraniu tych a nie innych osobistości: owszem, na wyniki patrzeć potrzeba tak, jak gdyby je wydało z siebie uczestnictwo jak najliczniejsze, w warunkach stałych normalne. Otóż wyniki są prawdziwie nauczające, wysoce symptomatyczne. W poprzednim sejmie Czesi mieli 50, Niemcy 29 pełnomocnictw; w nowym te sumy pozostały niewzruszonemi, zmieniły się tylko wielce ich czynniki. W obozie niemieckim skrajność górą, umiarkowanie, pośrodkowość nie odpowiada już nastrojowi dusz: Wszechniemcy wyparowują Niemców postępowych, wydarli im już 7 miejsc w sejmie, a wydrą jeszcze 2, tak, iż sami wzrósłszy z 4 do 13, współzawodników swoich zostawią tylko w liczbie 10 zamiast 21 dawniejszego zastępu. Sumę niemiectwa uzupełni 2 agraryuszów i 4 ludowców, demokratów nietrzymających zasadniczo z Wolfem i Schönererem.

Krańcowości niemieckiej odpowiada czeska jakby rozlazłość, rozwodnienie myśli i żądzy narodowej. Niezbitym tego dowodem jest ogromny wzrost, nagłe jakby wystrzelenie z ziemi interesów sobkowsko-społecznych, ekonomicznych pod postacią aż piętnastu agraryuszów. Gdy Niemcy nie zmienili swego etatu, Czesi prawie w czwórnasób go podnieśli. Jest to jak gdyby wyraz zobojętnienia dla spraw ściśle politycznych, narodowych, w każdym razie zasada odśrodkowa ujemna, wielce szkodliwa, a ze stanowiska upatrującego w objawach rdzeń istot, prawdziwie zasmucająca patryotów czeskich. Kto wie, czy zmiękczenie to ducha narodowego, jako przeciwstawni w walce z Niemcami, nie ma swego źródła w usposobieniu, które nakazało Młodoczechom pogodzić się ze Staroczechami; w każdym razie jest faktem dotkliwym dla uczuć narodowych czeskich. Agraryusz nie będzie patryotą szczerym, jak nim nie będzie żaden zachowawca, dążący przedewszystkiem do zachowania samego siebie. W dawniejszej kuryi było 44 młod., 4 agraryuszów i po jednym staroczechu i chrześcianinie - polityku; w nowej młodoczechów będzie tylko 33 (w najlepszym wypadku), 15 agraryuszów (w najgorszym) i po 1 radykaliście i politykującym chrześcianinie. Rolę jak najbardziej politycznych wszechniemców w obozie niemieckim u Czechów odegrali jak najmniej polityczni agraryusze: zdobywają, zajmują przednie stanowiska. To samo już wystarcza do uwydatnienia rażącego przeciwieństwa siły i rozpędu narodowego w jednych, omdlenia i niemocy w drugich. W miastach, gdzie niema co orać, niema też i agraryuszów. Młodoczesi utrzymają się w swej sile; d. 11 b. m. weszło ich 35. Jeżeli d. 14-go na ponownych wyborach przeprowadzili choćby dwu swoich, razem z trzema przedstawicielami drobiazgu pojęciowego utrzyma się stan dawniejszy — 40 posłów czeskich.

Niemcy w kuryi miast okazali taki sam rozpęd, jak i w kuryi wsi, i tak samo hasło wszechniemiectwa dawało im zwycięstwo. W poprzednim sejmie 20 miejsc zajmowali postępowcy, 6 ludowcy, 1 antysemita, a 5 tylko było w mocy wszechniemców; w nowym stronnictwo przodujące zyska zaledwie 14, po niem zaraz pójdzie zastęp Schönerera i Wolfa — w sile 10 mężów (co najmniej), ludowców będzie 7, z drobiazgu 1. Ponieważ między Niemcami a Czechami z wielkiej własności stanął układ obdzielający ich stałą liczbą miejsc, a głosowanie Izb handlowych i wielkiej własności feodalnej żadnych nowych nie przyniesie momentów, można wogóle powiedzieć, że Czesi w przyszłym sejmie nie stracą liczebnej swej nad Niemcami przewagi; utracą tylko zwartość i sprawność, Niemcy większą ich ilość przeważą lepszą jakością własną—silniej wcieloną namiętnością walki o ideał narodowy, o panowanie w Austryi, o sam nawet byt. Przyszłość należy zawsze do tych, co silnie czują i pragną i namiętność swą czynami zapładniają. Patrząc na tegoroczne wybory w Czechach, niepodobna się opędzić myśli, że przyszłość należy do Niemców. Myśl to posępna, ale rzeczywistość sama ją z siebie wyrzuca. Przyszłość Austryi zależy od tego głównego prądu, który się w obecnych wyborach ujawnił, od działania prądów mu wrogich w samych Czechach. Wrzątek w kotle czeskim wzdyma się i kipi ku Berlinowi. Jeśli go moc żadna od ognia nie odstawi, czas może tylko dodawać siły hasłu: *Los von Oesterreich* utajonem już w *Los von Rom*. W Czechach zapanuje umysłowa anarchia, od której zatrzęsie się i cała Przedlitawia. Moment dzisiejszy jest bardzo ważny, przełomowy. Nie wodą różaną lub panieńską skórką, ale żrącymi kwasami, rozpalonem żelazem trzeba wypalać tego raka rozkładającego Austryę — póki jeszcze czas, jeżeli jeszcze jest.

PRZEMIENIONY.

Pomimo że Galicya jest zasobna w typy, wcielające duszę jej moralnego ustroju i naturę stosunków społecznych, jednakże trudno byłoby znaleźć doskonalszego pod tymi względami jej przedstawiciela, niż p. M. Bobrzyński. Czytelnicy nasi coś o nim wiedzą, bo wszakże on jest autorem kilkakrotnie wydanych *Dziejów Polski* i od czasu do czasu jego nazwisko było przypominane w korespondencyach i telegramach z Galicyi. Ale nie wszyscy zapewnie postawili przed sobą tę postać całkowicie, w świetle warunków miejscowych, z gwiazdą przeznaczeń nad czołem. Zróbmy to — zwłaszcza że mamy świeży powód.

Mniejsza o dokładny życiorys i lata poprzedzające sławę. Dość powiedzieć, że p. M. Bobrzyński wynurzył się z mroku na jasną widownię jako profesor uniwersytetu Jagiellońskiego. Na tem stanowisku poświęcił on się szczególnie badaniom, wykładom i wydawnictwom naukowym z zakresu historyi prawa polskiego. Rzeczywiście w tej dziedzinie dokonał on wielu prac gruntownych, wielu poszukiwań mozolnych, wielu odkryć ważnych. Zdawałoby się, że taka cenna siła, uprawiająca pole tak zaniedbane i zbierająca plony tak bogate, powinna była przedewszystkiem rachować się i być zużytkowaną dla nauki. Ale na nieszczęście, albo raczej ze stanowiska wyobrażeń galicyjskich — na szczęście, p. M. Bobrzyński zaciągnął się pod chorągiew stańczyków, pod którą wkrótce zdobył generalskie szlify. Dzięki temu kazano mu porzucić tak pośledniе miejsce, jakiem jest katedra uniwersytetu, oraz taką nędzną pomywaczkę kucharzów politycznych, jaką jest nauka, i wprowadzono na *wyższy* szczebel — prezesa Rady szkolnej. Możnaby się wielce dziwić i pytać, dlaczego tę rolę powierzono uczonemu, który miał inne zdolności i cele, gdyby nie było wiadomem, że ambicya Galicyanina widzi najwyższe swe szczyty w polityce i że najpewniej furmani krajowi ten, kto trzyma w ręku wodze jego oświaty. Więc też p. Bobrzyński, w interesie stronnictwa, zaczął energicznie hamować koła wozu i ściągać lejce zaprzęgu wykształcenia publicznego, dając poniekąd z siebie przykład niechęci do wiedzy, gdyż sam badać, pisać i wydawać przestał. Nareszcie — przed kilku tygodniami — na zegarze stańczykowskim wybiła nowa godzina przeznaczeń dla p. Bobrzyńskiego: odwołano go z drogi urzędniczej i kazano znowu wejść na naukową, i prezes Rady szkolnej został napowrót profesorem uniwersytetu. Cóż to? Czy uznano większą jego użyteczność na dawnem stanowisku, czy teraz właśnie opróżniona została jego katedra? O, nie, katedra ciągle czeka na faworytów stańczykowskich. Jeżeli niema wolnej, to się stwarza nową, a wszechnica, jak każda zresztą instytucya, jest dla nich gospodą, w której oni mają zawsze wolne pomieszczenie. Zajmują je, czy nie — ono jest *besetzt*. Więc i p. Bobrzyński mógł był zostać dowódcą wojsk w Bośni, zawiadowcą żup wielickich, dyrektorem kolei, a mimo to, skoroby tego zażądał, natychmiast wróciłby do wykładów uniwersyteckich. Ale ponieważ ani tacy mężowie, ani takie stronnictwa nie uczuwają zgryzot sumienia naukowego i tęsknoty do prac naukowych, więc co znaczy to przedzierzgnięcie się? Żaden Galicyanin takiego naiwnego pytania sobie nie zada — my musimy na nie odpowiedzieć. Korespondent *Gazety Polskiej* poucza nas, że prezes Koła polskiego w Wiedniu, p. Jaworski, już zniedołężniał i że zachodzi konieczność zastąpienia go innym. W tym celu ma być skłoniony jeden z posłów (zaszczytna dla niego propozycya), ażeby się zrzekł swego mandatu „z kuryi większej własności," a w okręgu tym wystąpi jako kandydat i niewątpliwie zostanie wybrany *profesor* uniwersytetu, p. M. Bobrzyński. Rozumiecie teraz, na co p. Bobrzyńskiemu potrzebna jest profesura?

Śliczny obrazek rodzajowy! Uczy on nas wymowniej, niż wszystkie dowodzenia, do czego w Galicyi służą stanowiska naukowe, jakie z tych trampolin robione są skoki, jak tam wykształcają się ludzie zdolni i gotowi do wszystkiego, jak ta gimnastyka polityczna wyłamuje z dusz poczucie moralne, gasi w nich miłość dla uczciwej i niezależnej pracy, rozwijając tylko pazury do zwycięzkiej walki o byt materyalny. A całą tę zarazę, chorobę i dzikość zawdzięcza Galicya stańczykom.

Pr.

Waryat... czy...?

Drobny, zimny deszczyk siekł od godziny. Para szkapiąt ślizgała się po rozmiękłej ziemi, a wasąg luzował się co chwila po wyboistej drodze.

Robiło się coraz ciemniej i ksiądz Jan, który w najjaśniejszy dzień niedaleko sięgał wzrokiem, teraz nic widział nic przed sobą.

— A daleko tam jeszcze, mój Różański?

Woźnica obejrzał się bokiem. Dziwił się, bo Dobrodziej trzeci już raz o to samo pytają.

— Będzie jeszcze z wiorsta do powrótki, a tam, to już tak, jak w mieście.

Obejrzał się znowu i teraz dopiero uderzyła go skulona postać księdza. Zgiął się prawie we dwoje i otulał się, jak mógł najszczelniej, wytartym płaszczem. Ale wicher silny dął od północy. Okrycie rozwiewało się co chwila i zimno przenikało do szpiku.

Różański w ciepłej burce, w kapturze na czapce nie czuł chłodu. Widocznie jednak musiał coś zmiarkować, bo zatrzymał szkapy, zlazł z wozu i zaczął gmerać pod słomą.

— A co tam, mój kochany? — ozwał się znów głos księdza.

Szlachcic podszedł bliżej z dużem radnem w ręku i, nic nie mówiąc, okrył plecy i ramiona Dobrodzieja, otulając pod samą szyję.

— Dziękuję wam, moi kochani. Odrazu cieplej się zrobiło.

Wtedy stary gderać począł, gramoląc się na wóz.

— A bo kto to widział na takie zimno tak wyjeżdżać? Tu człowiek przywykły do słoty, a i to się kuli. Cóż dopiero delikatna osoba.

A delikatna osoba myślała w tej chwili, że trudnoby znaleźć coś lepszego od płaszcza, gdy jedyną cieplejszą rzecz w domu, barany, oddało się żydowi do naprawy.

Siedział już cicho do końca drogi, która dobre pół godziny trwała jeszcze. Przytrzymywał rękami radno i wyprostował się dopiero, gdy wózek podjechał pod dziedziniec plebanii.

Szlachcic wylazł, szukając po omacku bramy. Zaszczekał pies w sieni i wkrótce doczłapali po błocie do ciemnego domostwa.

Ksiądz zszedł z wozu, a stary, widząc go już na progu, skręcił radno, schował je znów pod słomę i, zbierając sznurki, gotował się do odwrotu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! Co to chcecie jechać? Dajcież choć koniom wytchnąć i sami odpocznijcie pod dachem.

— Nie można, Dobrodzieju. Tam żonka gotowa mi zamrzeć. Trzeba jechać.

Wózek zakręcił na podwórku; stary zamknął jeszcze wrota i powlókł się z powrotem przez miasteczko.

Pies uspokoił się, nie czując już obcego. Skomlił tylko cicho w sieni.

Ksiądz stał na progu i stukał pięścią we drzwi, a gdy to nie skutkowało, zaczął targać klamką i wołać na głos:

— Marcinowa! Otwierajcie!

W domu była zupełna cisza. Deszcz padał coraz większy. Zimno było coraz przenikliwsze.

Wyczerpała się nareszcie cierpliwość proboszcza. Podszedł szybko do okna kuchni i i gwałtownie w szybę stukać zaczął.

Po chwili zabłysło światło i stuknęła zasuwa u drzwi wchodowych, lecz gdy ksiądz wszedł, w sieni palił się tylko ogarek świecy w lichtarzu, a nie było już tam nikogo.

Zabrał światło i szedł do sypialni. Po drodze nie spotkał żywej duszy. Zdjął zmoczony płaszcz i kapelusz, wyprostował się i uczuł dziwne zmęczenie i głód. Była dopiero dziewiąta, więc najbardziej wyrafinowana delikatność pozwalała niepokoić

Tydzień polityczny. Na Węgrzech wybrano do sejmu 263 liberalnych (rządowych), 75 koszutowców, 20 demokratów chrześciańskich, 1 niechrześciańskiego, 11 ugronistów, 5 słowaków, 13 nienależących do żadnego stronnictwa—razem 388; 25 wyborów ściślejszych uzupełni liczbę prawną 413 posłów. Pomnaża ją 40 delegatów chorwackich.

Marszałkiem krajowym i sejmowym w Galicyi został Andrzej hr. Potocki z Krzeszowic. Poprzednik jego, Stanisław hr. Badeni, ma przejść do opozycyi. Wice-marszałkiem sejmu zamianował cesarz austryacki arcybiskupa unickiego, Szeptyckiego. Zapowiadają ustąpienie i namiestnika, hr. Pinińskiego, przeznaczając jego urząd hr. Antoniemu Wodzickiemu. Na miejsce p. M. Bobrzyńskiego rząd zamianował jakiegoś Płażka, o którym głucho było dotychczas i w szkolnictwie i w literaturze i w nauce polskiej. Wygląda on na Morawiaka lub Czecha. Widocznie uboga Galicya nie mogła się zdobyć nawet na wice-prezesa rady.

Nowy emir Afganistanu, Halib Ullah, dotychczas nie ma jeszcze współzawodnika do tronu. Do Simli wysłał poselstwo. Anglicy dotychczas nie mają niepomyślnych dla siebie wskazań.

Rząd chiński doręczył już seniorowi dyplomatów w Pekinie przekaz na 450 mil. taelów kontrybucyi wojenno-cywilizacyjnej.

Prezydent Roosevelt zamierza wnieść prawo przeciw „trustom.“ tj. zmowom wielkiego kapitalizmu przemysłowego na kieszenie spożywców; chce zniżyć niektóre cła i wprowadzić zasadę rozdawania urzędów nie jako łupów stronnictwa zwycięzkiego, ale jako stanowisk wymagających ludzi odpowiednio uzdolnionych, bez względu na stronnictwa. W programacie jest i podniesienie floty do potęgi przewyższającej wszystkie inne z wyjątkiem Anglii.

P. Zinowiew zażądał od sułtana powściągnięcia gwałtów w Armenii, a ochronienia rodzin serbskich, wracających do Starej Serbii, za rękojmią sułtańską, od prześladowań i krzywd ciężkich, jakich od ludności i urzędników sułtańskich doznają.

Coraz częstsze i uporczywsze są pogłoski o rewizyi traktatu berlińskiego.

Botha w okolicach Luneburga, według pogłosek, wymknął się szczęśliwie z opasującego go pierścienia angielskiego. Walka przenosi się na północ, ku górnemu Vaalowi, we właściwym Transwalu. Kitchener rozstrzeliwa dowódców głównych, nawet jeńców, w liczbie 53, skazał na śmierć—dla wrażenia; śmierć wszakże zastąpił wygnaniem. Brodrick chwali się, że 200,000 wojska i 450 dział ma teraz w Transwalu, a 100,000 trzyma w gotowości; co miesiąc też 10,000 koni wysłać może. Wysyła wojsko i do Irlandyi, gdzie wrzenie w umysłach zaczyna już wychodzić na zewnątrz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

STRAŻACY SPOŁECZNI.

Walka plemienna, nieustanny ucisk żywiołu polskiego, coraz nowe i liczniejsze hufce krzyżackie pod znakiem hakatyzmu są przedmiotem stałej uwagi prasy naszej. Wszystkie pisma zapaliły latarki i z wież swoich dostrzegalni rzucają światło na pole walki.

Znamienne stanowisko w tych szeregach zajął korespondent *Gazety Polskiej*. Jego latarka zupełnie w inną stronę rzuca smugę światła, przy którem dają się dostrzedz tylne namioty i wąwozy pozaokopowe, a dalej manowce i słupy przy nich z napisami: „Tu spokój, tu cisza, tu sen...“ Manowce te prowadzą na bujne łany, oświetlone słońcem pangermańskiem, gdzie dokoła rozlegają się tajemnicze głosy: „Tu każdy zażyje szczęścia i dobrobytu, kto będzie mówił, myślał i czuł tylko po niemiecku, kto zapomni o swojej przeszłości, wyprze się swego pochodzenia, wyrzeknie się wyssanych z piersi matczynej uczuć, marzeń i pragnień...“

Lepiej dojrzymy kierunek promieni latarki korespondenta, gdy uprzytomnimy sobie jego wnioski: Z powodu iż część Niemców-katolików, z Lieberem na czele, skłania się otwarcie do polityki germanizacyjnej rządu i hakatystów, uważając zgermanizowanie ludności polskiej za obowiązek narodowy i konieczność państwową, korespondent ten przychodzi do następujących wniosków: „Nie można zaprzeczyć, iż ta zmiana usposobienia u katolików-Niemców w prowincyach wschodnich jest po części wywołana zachowywaniem się naszej prasy, która od pewnego czasu powołuje się stale i konsekwentnie na wspólność slawiańską, przeciwstawia świadomie światu germańskiemu całą Słowiańszczyznę. Dopóki straszyli Niemców widmem Słowiańszczyzny tylko agitatorowie wszechniemieccy, ludność spokojniejsza i trzeźwa śmiała się z tego; gdy jednak obecnie na tę samą nutę śpiewają prawie wszystkie pisma polskie, można zrozumieć, że to wywołuje niepokój, potwierdza wyrażone już dawno przez hakatystów podejrzenie, że w społeczeństwie naszem odbywają się za kulisami jakieś konszachty, niebezpieczne dla całości Niemiec, budzi u patryotów niemieckich katolickich czy niekatolickich — pragnienie, aby zgnieść ten żywioł wrogi i ubezpieczyć się przed nim w taki sposób na zawsze...“ „To nieustanne odwoływanie się do jedności słowiańskiej, rzucanie spojrzeń za granicę, nie jest połączone absolutnie z żadnym programem politycznym, jest tylko prostą, bezmyślną gadaniną, a najwięcej dowcipni utrwalają ją w tem przekonaniu, że zatrwożą Niemców, powstrzymają w polityce germanizacyjnej.“

„Można było wyrachować sobie na palcach — kończy korespondent — że musi stać się przeciwnie i rzeczywiście tak się dzieje. Walki z naporem germanizacyjnym *uniknąć nie mogliśmy pod żadnym warunkiem.* Że jednak rząd czyni rozpaczliwe wysiłki, aby zgermanizować nas jak najprędzej; że powoli cały naród przyswaja sobie jego program i dokłada ze swej strony wszystkich sił, aby go poprzeć w usiłowaniach; że wobec tego nie wiemy, czego wprzód bronić i co ratować i w tej walce na wszystkie strony, jakkolwiek zapewne wyjdziemy z niej cało, *utracimy bardzo wiele*, nietylko część dobrobytu, ale i czystość języka i równowagę społeczną — to zawdzięczamy tym kierownikom opinii publicznej, którzy, ot tak sobie, dla fantazyi, z pospolitego gadulstwa i śmiesznego wyrachowania, że zastraszą germanizatorów, wywołują wrażenie, jakobyśmy oglądali się na pomoc potężniejszych sprzymierzeńców.“

Już nie po raz pierwszy korespondent *Gazety Polskiej* ujawnia swoje znamienne stanowisko w tej sprawie. Przed kilku tygodniami potępił księdza Lissa za to, że ten otworzył oczy społeczeństwa na zakulisowe sprawy germanizacyjne („wyciągnął różne szczegóły ze stosunków wewnętrznych centrum i wprowadził polemikę na tory, na których stała się wprawdzie bardzo zajmującą, lecz nabrała charakteru kłótni karczemnej“).

Z wywodów korespondenta między wierszami wyczytać można taki wniosek: „Nie

---

domowników. Postał przez chwilę, jakby namyślając się; potem wziął znów ogarek i, świecąc nim sobie, przedostał się na drugą połowę domu i zastukał do drzwi kuchni.

Cisza.

Znów pukanie i znów cisza.

Głód jednak jest mocnym panem, więc proboszcz nie dał za wygranę.

— Marcinowa! Marcinowa!

Cisza.

Stukanie stało się coraz silniejszem.

— Marcinowa!

Baba nie śpi; chce tylko postawić na swojem.

Ksiądz jednak uparł się także. Gołębią jego naturę głód zmienił do niepoznania. Bił we drzwi raz po raz, aż w końcu ruch się zrobił w kuchni i stara, sucha baba, odsunąwszy haczyk, stanęła na progu.

— Skaranie Boże z tą jazdą po nocach! pracujesz dzień cały a w nocy zasnąć nie dadzą!

— Ależ to nie noc jeszcze. Dopiero po dziewiątej.

— No, to i cóż z tego? Łóżko posłane, woda przygotowana. Ta i czego jeszcze potrzeba?

— Nie macie tam jakiego jedzenia?

— Jezu Nazareński! O tej porze jedzenie?

— Może co zostało z obiadu.

— Chyba to się na dziesięć dusz gotuje? Co się zrobiło, to się i zjadło.

To może macie chleb i masło?

— Chleb dopiero wieczorem rozczyniłam. Masło choć jest, to nie ma go z czem jeść.

— A te kołacze pszenne, które przysłali z Jabłonki?

— Od kiedy wyszły!

Ksiądz odwrócił się i poszedł. Wiedział z doświadczenia, że w walce z gospodynią bywał najczęściej zwyciężanym. Oswoił się już z tą pozycyą i nie protesował nigdy. Dziś tylko tak go głód wyemancypował.

Deszcz bił w szyby, wiatr wył w kominie, a przez kontrast, tem zaciszniej i milej było w sypialni. Łóżko czysto usłane zapraszało do snu. Ckliło wprawdzie trochę, ale co tam! dzieciństwo. Czy to taki głód bywa na świecie?

Przed oczami duszy księdza Jana stanęła wymizerowana twarz Grzegorzowej z za kołowrotu.

Ta twarz młoda latami, a stara cierpieniem. Te pięcioro dzieci „zawsze trochę głodnych.“ Widział tak wyraźnie jak wczoraj to wnętrze nędznej chaty. Mąż pijak chrapie za piecem; matka prawie ślepa kołysze najmłodsze dziecko; czworo starszych wyskrobuje z miski resztki nieokraszonych kartofli. Chleba w chacie ani poświeć! I te wymęczone rysy przepracowanej biedaczki. Te smutne oczy udręczonego na śmierć zwierzęcia, które z taką wdzięcznością ku niemu się zwróciły!

Coby on dał za to, żeby tak można zrobić coś więcej dla nich, dla tych biedaków, i dla rodziny tego robotnika, ze zmiażdżoną w fabryce ręką, którego dwa dni temu na śmierć dysponował, i dla tylu, tylu innych!

Leżał już w łóżku pod miękką kołdrą i powoli skostniałe członki rozgrzewać się zaczynały. Było mu dziwnie dobrze tak się wyciągnąć po tej męczącej wycieczce. Duch przebywał jeszcze czas jakiś wpośród ukochanych biedaków, a ciało tymczasem rozkoszowało się na ciepłem posłaniu.

Gwizd wiatru, plusk deszczu coraz się powiększał, a księdzu było tak dobrze, tak zacisznie, że dręczyłby się tem niepomału, gdyby nie uczucie głodu, które ratowało położenie.

* *

Od rana nad ziemią mokrą zawisło niebo bez chmurki. Słońce wypłynęło z obliczem pogodnem. Stanęło do pracy i wkrótce wysuszyło kałuże przydrożne i mokre liście drzew. Około południa nie było już ani śladu wczorajszej słoty i zimna.

Za przykładem słońca jasnym był też humor pani Marcinowej.

Trochę pogoda, a trochę wyrzuty sumienia za wczorajsze przyjęcie zrobiły starą

opierajcie się germanizacyi, nie używajcie środków drażniących, zaniechajcie wszelkich sposobów, przeciwdziałających naporowi niemczyzny, bo to tylko zwiększa jej siłę i rozszerza zastępy wrogów." Z gruntu są fałszywe same dowodzenia autora, że wzrost dążności germanizatorskich wynika z wołania na pomoc Słowiańszczyzny i posługiwania się innymi środkami. Dążności te istniały od dawna i wybuchły z wielką siłą za czasów bismarkowskich, kiedy jeszcze masy ludności polskiej nie były uświadomione.

Czy jednak germanizacya, ten ucisk, gwałty i prześladowania stale wzrastające, są istotnie dla żywiołu polskiego tak niebezpieczne? Fakty z ostatniej doby życia dowiodły wręcz czego innego. Za czasów germanizacyi łagodnej, ukrytej, podstępnej, masy ludności polskiej, napółoświeconej i ciemnej powoli ulegały zniemczeniu, poddawały się biernie wpływowi ducha niemieckiego, zaczynały nietylko mówić, ale i myśleć po niemiecku, stopniowo zatracały poczucie swej narodowości. Zjawiska takie bardzo wyraźnie się zaznaczyły szczególnie w Prusach zachodnich tudzież w dalszych dzielnicach Poznańszczyzny. Zaczynało zapanowywać pewno niebezpieczne dla żywiołu polskiego odrętwienie. Przyjmowano apatycznie wszelkie zmiany i reformy, a nawet chytre wkradanie się hydry germanizacyjnej do życia domowego. Stan taki zaczynał się ujawniać i w wyższych warstwach społeczeństwa, budując tam bardzo wygodne szczeble do karyery.

Naraz gwałtowne uderzenie taranu hakatystów w rozpadające się wały warowni żywiołu polskiego wstrząsnęło do głębi całem społeczeństwem, wzbudziło w niem świadomość położenia, poczucie narodowości. Germanizacya uciskająca nawet najbierniejszych, najlojalniejszych ludzi, w których już kołatała dusza napół zniemczona i biło serce obojętne na sprawy narodowościowe, przyprowadziła ich do uświadomienia. Dzieci, pomiatane w szkole, dręczone przez nauczycieli Niemców, dowiedziały się o tem, że są Polakami. Skromny, zahukany, zgnębiony i pozbawiony posady urzędnik, zaczął powtarzać sobie: „jestem Polak, Polak, Polak i dlatego cierpię." A głos wewnętrzny mówił mu: „Jesteś Polak, Polak, Polak i zostań nim, a nie zginiesz!.." Ten głos wewnętrzny zaczął się budzić i coraz silniej dźwięczeć w duszach jeszcze niedawno napół sennych lub zgiętych, pokornych, przyjmujących obelgi i zniewagi. I oto dziś od Warty do Odry poczucie narodowości i potrzeba samoobrony wzrosła potężnie, wytworzyła zwartość uczuć i dążności rozproszonych. Samoobrona ta mężnieje nietylko w jednostkach, lecz już w życiu zrzeszonem czy to na podścielisku ekonomicznem, społecznem czy moralnem. Nietylko na szczytach społecznych, nietylko na ich zboczach, lecz i na nizinach, przedtem mrocznych i sennych zaczyna przyświecać i przygrzewać słońce poczucia narodowego.

Czy więc należy drżeć przed naciskiem germanizacyi? Czy należy szukać środków jej łagodzenia, głaskania, jak chce korespondent *Gazety Polskiej*?—Germanizacya na gruntach wyjaławianych przedtem środkami łagodnymi, stała się obecnie sztuczną mierzwą, która pobudziła uśpioną wegetacyę życia. Mierzwa taka, gromadzona w dołach, zawiera fermentacye zabójcze i miazmaty niebezpieczne; ale skoro tylko rozpłynie się na powierzchni gruntu i wsiąknie w głąb, wzmacnia je.

Korespondent *Gazety Polskiej*, członek jakiejś straży ochotniczej, a może tylko luzak, dojrzał gdzieś łunę na niebie i pragnąłby ją nietylko zgasić, ale i winowajców skarcić. Podpalaczką uczuć i namiętności narodowych była prasa! Patrzcie, coście zrobili! „Utraciliśmy bardzo wiele, nietylko części dobrobytu ale i czystość języka, i równowagę społeczną." Tak, utraciliśmy parę szczebli do karyery, pewna garść jej kandydatów, wspinające się może po schodach zrujnowanych, straci równowagę, kark sobie skręci, ale większość, ale całe społeczeństwo nie zajmie stanowiska z sikawkami i fałszywą trąbką na wieży strażackiej, na której stanął korespondent *Gazety Polskiej*.

Zen. Piet.

Z PODRÓŻY PO GALICYI.

II.

Sprawozdanie komisyi zdrowia poucza też nas, jak stoi sprawa pomocy lekarskiej. Otóż — w 30 powiatach przypada jeden lekarz na przeszło 10,000 mieszkańców, a należy sobie uprzytomnić, co to znaczy, wobec obszerności powiatów galicyjskich, wobec odległości, jakie ma do przebycia lekarz, wezwany do chorego. Nie lepiej ma się rzecz z akuszerkami: na całą blizko siedmiomilionową ludność jest ich 1,887, a z tej liczby na Kraków i Lwów przypada 478; w pięciu powiatach nie było akuszerek zupełnie. To aż nadto wystarcza do objaśnienia strasznie wysokiej liczby wypadków śmierci wskutek gorączki połogowej. Naliczono mianowicie takich wypadków w roku wspomnianym 1,229, w całej zaś Austryi pozostałej 917.

A więc Galicya przedewszystkiem powinna się ratować od tej przerażająco wielkiej śmiertelności. Tymczasem w sprawozdaniu czytamy: Od r. 1887 przedstawiany jest projekt ustawy dla wsi i małych miasteczek, a mianowicie od r. 1897 już piąty raz. Projekt ten, w którym zmiany wymagane przez rząd na podstawie opinii najwyższej rady zdrowia przeważnie były uwzględnione, nie został dotąd załatwiony, chociaż komisya administracyjna sejmowa uznała wydanie ustawy budowlanej dla wsi jako rzecz koniecznie potrzebną." O, cześć wam, panowie magnaci...

Drugiem najżywotniejszem zadaniem dla kraju, pragnącego się dźwignąć z nędzy, jest sprawa szkolnictwa. Jadąc przez Czechy, w wiosce każdej widziałem okazałe budynki szkolne, a gdy zwiedziłem niektóre z nich, mogłem się przekonać, że przynajmniej najważniejszym wymaganiom hygieny i pedagogii szkoła czyni zadość. W Galicyi — widywałem szkoły mieszczące się w napół rozwalonych chałupach, brudne, obdarte, nędzne. A oto jak przedstawia sprawę autor artykułu o szkolnictwie w Austryi w „Statistische Monatschrift": Od r. 1869 w Austryi istnieje przymus szkolny: dzieci są obowiązane uczęszczać do szkoły od skończonego 6-go do 14-go roku życia. Pozwolono wszakże niektórym krajom znieść te normy i skorzystała z tego oczywiście Galicya. Tu przymus szkolny trwa od 6-go do 12-go roku, a potem dzieci są obowiązane uczęszczać do szkół „dopełniających," do roku piętnastego. Jest to oczywiście pogorszenie, gdyż trzy lata szkoły dopełniającej w żadnym razie nie zastąpią dwóch lat szkoły normalnej, codziennej. Lecz jak się rzecz ma w praktyce? W ca-

---

nad wyraz uprzejmą i troskliwą. Do rannej herbaty były świeże podpłomyki, masło młode, śmietanka. Ksiądz Jan wynagradzał sobie wczorajszy głód. Jadł i pił z apetytem. Pokazał się nawet wspaniały, biały kołacz, z tych, które były z Jabłonki. Gospodyni tłomaczyła, że się był „zasunął" w bufecie, tak, że go dopiero dziś odnalazła. Wiedział ksiądz, co myśleć o tem „zasunięciu się" olbrzymiej bułki, ale milczał i, korzystając z dobrego humoru starej, wyprosił zabitą i oprawioną wczoraj kurę na rosół dla okaleczałego robotnika.

- Chryste Panie! Cóż ja nieszczęsna dam księdzu na obiad? Mięsa ani kawałka! Myślałam, że ugotuję rosół z tej kury, a tu nowa komedya!

— Wszystko jedno, moja Marcinowa. Mięsa nie jadłbym i tak. Będę dziś pościł. Zrobicie mi na zupę kluseczki z masłem, parę jaj i dość.

Stara milczała przez pamięć na wczorajsze, ale cała żółć w niej się poruszyła, gdy ksiądz zawijał tłustą kurę w papier i wkładał do drucianej torby.

Były chwile kiedy proboszcz wydawał się jej prawie świętym, ale często, daleko częściej miała go za bzika.

Trzeba też mieć niedobrze w głowie, ażeby taki kąsek nieść choremu chłopu.— Co to? może on się na tem zna, czy co? Wódki kieliszek to insza rzecz! Wódka zawsze zrobi dobrze choremu i zdrowemu. Ksiądz wyszedł, a Marcinowa zabrała się do obiadu.

Miała właśnie siać mąkę na kluski i podeszła do kołka po sito. Wtedy zobaczyła przez okno proboszcza, który zawrócił czegoś z drogi. Widziała to, ale nie zgłębiała przyczyny.

Widziała też jak po chwili wyszedł znowu na dziedziniec. Ale teraz prócz torby drucianej z kurą miał pod ręką jeszcze jakieś białe zawinięcie. Coś długiego w serwecie.—Znowu coś wyniósł —pomyślała.

Takie wynoszenie było rzeczą codzienną prawie. Marcinowa miała czas oswoić się z tem zupełnie.

Wynosił ubranie, bieliznę, zapasy spiżarniane, o ile były na wierzchu. Gdyby nie to, że klucze od bufetu były pilnie strzeżone, to ani cukru, ani herbaty, ani bułki, ani masła nie użyłby nikt w domu.

Kluski były już gotowe, gdy proboszcz wrócił z miasteczka. Marcinowa zaczęła je spuszczać na wodę. Ugotowały się w moment. Jajecznica też skwierczała na patelni. Gdy niosła do stołu, stojącego pod oknem, rądel z polewką, aby wlać ją do wazy, dał się słyszeć tentent koni i elegancki powozik wjechał przed ganek.

Stara postawiła rądel, wychyliła się oknem od kuchni i zobaczyła okazałego mężczyznę w płaszczu, który, wysadzony przez księdza Jana, wchodził na próg domu.

— Ktoby to mógł być?—myślała napełniając wazę.

Odpowiedź przyszła prędko i była straszną.

Proboszcz wbiegł zdyszany.

— Ksiądz dziekan przyjechał! Będzie na obiedzie. Trzeba mu coś dać jeść.

— Ksiądz dziekan! Rany Boskie! A cóż ja mam dla niego? Czy nie te kluski w polewce? — zawołała, załamując ręce z takim wyrazem komicznej rozpaczy, że ksiądz uczuł litość i zaczął ją uspakajać.

— Moja kochana! nie martwcie się! A cóż to znów złego kluski? Dacie to, co jest w domu. Idźcie tylko dodać jedno nakrycie więcej.

Wyszedł, a ona wracała pomału do przytomności.

— Bo taki prawda! jak niema rady—to niema.

Weszła do jadalni i stawiając nakrycie, przyjrzała się dziekanowi.

(C. d. n.).

M. Z.

łej Austryi liczono w r. 1894/95 dzieci obowiązanych uczęszczać do szkoły, lecz pomimo to nieuczęszczających, 392,873, a z tej liczby przypada na Galicyę 319,897. Najmniej 30,28% dzieci obowiązanych do nauki w Galicyi, nie pobiera jej wcale. Gorsze są stosunki już w dwóch tylko krajach — na Bukowinie (35,83%) i w Istryi (35,72%). Ale autor artykułu poucza nas, że te cyfry przedstawiają rzecz jeszcze zbyt różowo. Nie wliczono bowiem zupełnie dzieci w gminach pozbawionych szkoły; jeżeli obliczymy tę ilość przypuszczalnie, to liczba dzieci nieuczęszczających do szkoły urośnie do 669,000, a liczba procentowa wyniesie 47,62%. Galicya staje na pierwszem miejscu co do zaniedbania obowiązku względem dorastającego pokolenia: — prawie połowa dzieci nie uczęszcza do szkoły! Nie należy przytem przypuszczać, że to tylko na wsi sprawa tak źle stoi. W Krakowie, siedlisku inteligencyi galicyjskiej, z 14,111 dzieci, obowiązanych do nauki, nie pobiera jej 4,262, tj. 30,1%, a we Lwowie, stolicy kraju, pod okiem władz, z liczby 19,792 dzieci nie pobiera nauki 3,609, tj. 18%. Grzebiąc się dalej w tej ranie piekącej, dowiadujemy się, że i owa przeciętna nie przedstawia jeszcze stanu rzeczy dokładnie. Są bowiem powiaty, w których liczba dzieci uczęszczających do szkoły wynosi daleko mniej, niż połowę; np. w powiatach Horodeńskim i Kossowskim 88,5%, w Zahrzczyńskim 43,7%, w Kołomyjskim 46 5% itd. Dzieląc Galicyę na pięć okręgów, autor dochodzi do cyfr następujących: dzieci pozbawionych nauki jest w Galicyi zachodniej 43,4%, w środkowej 44,1%, w północno-wschodniej 38,4%, we wschodniej 44,4%, w południowo-wschodniej 53,3%. Przyczyną najważniejszą takiego stanu rzeczy jest oczywiście brak szkół, i tu Galicya przoduje znów na czele krajów austryackich: liczono bowiem w całem państwie gmin pozbawionych szkół 1,961, a z tej liczby w Galicyi 1881. Z tych szkół zaś, które posiada Galicya, 78,7% stoi na najniższym szczeblu, tj. posiada tylko jedną klasę i jednego nauczyciela. I niechże nikt nie sądzi, że te cyfry są może tendencyjnie przedstawione w piśmie urzędowem przez urzędnika niemieckiego, niechętnego Galicyi; autor cytowanego artykułu należy do rodu wielkorządców Galicyi; jest nim — doktór hrabia St. H. Badeni.

Pan ten, zarówno jak *Czas* krakowski, posługuje się zużytym argumentem dla uwolnienia rządu galicyjskiego od odpowiedzialności za lichy stan szkolnictwa: stan ten jest wynikiem biedy. Jest to *circulus viciosus* — bieda jest przyczyną nieuctwa, nieuctwo jest przyczyną biedy. Jednakże od r. 1868 Galicyą rządzi partya szlachecko-konserwatywna, a na rząd krajowy spada znaczna część odpowiedzialności za biedę i za ciemnotę kraju. To jasne. Gdy w lecie roku bieżącego odsłonięto pomnik Agenora hrabiego Gołuchowskiego, należało na nim położyć napis: On i następcy jego nie zapobiegli temu, że w Galicyi więcej niż połowa dzieci do szkół nie uczęszcza. — O, cześć wam, panowie magnaci...

Galicya jest krajem rolniczym — to jeden pewnik, a drugi, o którym przekonałem się naocznie, to ten, że rolnictwo galicyjskie wogóle stoi na przerażająco nizkim stopniu rozwoju. O porównaniu jego z kwitnącem rolnictwem w Czechach i Morawach mowy niema, lecz pozostaje ono nawet daleko po za rolnictwem Królestwa Polskiego i Księstwa Poznańskiego. Tak zapuszczonych, nędznych gospodarstw włościańskich, jakie widywałem nawet w pobliżu Krakowa, tej bądź co bądź najbardziej kulturalnej części kraju, dotąd nie zdarzyło mi się widzieć nigdzie. Zabudowania gospodarskie nad wyraz liche, inwentarz przerażająco nędzny, grunty niedbale uprawne, sady niepielęgnowane. Ze ubogie i ciemne włościaństwo nie może dźwignąć swego gospodarstwa, temu zresztą dziwić się nie trzeba, ale dziwiłem się mocno, widząc gospodarstwa na obszarach dworskich prawie w równym stopniu zaniedbane, i to zarówno w zachodniej, jak we wschodniej Galicyi, na piaskach nad Wisłą, jak na czarnoziemiu nad Bugiem. Lecz przestałem się dziwić, gdy dowiedziałem się, że nawet w majątkach uchodzących za dobrze administrowane rozpowszechniony jest zwyczaj oddawania roli włościanom, tak zwane „gospodarstwo połowiczne": właściciel daje tylko ziemię, którą uprawia i zasiewa włościanin, plon zaś dzieli się na połowę. System ten jest cechą najbardziej ekstensywnej i zacofanej gospodarki, w Galicyi zaś do dziś dnia uchodzi za korzystny.

Ciekawych bliższych szczegółów o gospodarstwie rolnem, odsyłam do rozprawy pani Zofii Daszyńskiej-Golińskiej. Tu zaś przytoczę kilka tylko cyfr, zaczerpniętych z ostatniego rocznika statystyki austryackiej. Plon zebrany z hektara wynosił w okresie 1886—95 w kwintalach (po 100 kilogramów):

	pszenica	żyto	jęczmień
w Austryi Dolnej	14,1	12,8	13,2
„ Górnej	12,9	13,3	12,7
[illegible]	10,0	10,0	10,4
w Czechach	14,0	11,6	13,9
na Morawach	11,5	10,5	11,5
na Śląsku	9,6	8,7	10,5
na Bukowinie	10,8	8,9	11,5
w Galicyi	8,4	7,1	8,4

Te cyfry, zdaje mi się, starczą za całe tomy. Galicya jest krajem, którego ludność żyje prawie wyłącznie z roli, a ta praca na roli daje plony w wysokim stopniu gorsze, niż w innych krajach!

A oto kilka cyfr, dotyczących inwentarza żywego gospodarstw rolnych.

Według spisu z r. 1890, na hektar obszaru uprawnego wypadało:

		b y d ł a		
	[illegible]	rogatego	nierog.	[illegible]
w Austryi Dolnej	6,3	29,0	21,6	6,0
„ Górnej	5,4	49,7	22,3	5,7
w Tyrolu	0,7	18,6	2,9	9,6
w Czechach	4,3	40,2	10,2	8,4
na Morawach	5,9	30,0	15,0	6,7
na Śląsku	5,5	36,0	15,7	3,5
w Galicyi	10,1	32,3	10,3	8,3

Tylko pod względem ilości koni Galicya stoi wysoko, lecz za to koń miejscowy należy do najlichszych w świecie; żaden kraj takimi chabetami się nie poszczyci i dlatego właśnie jest ich dużo; para koni czeskich starczy za dwie czwórki szkap galicyjskich. Krów Galicya ma stosunkowo niewiele, trzody chlewnej i owiec bardzo mało, a tymczasem żaden z krajów koronnych nie ma tak rozległych, w stosunku do całego obszaru, pastwisk i łąk jak Galicya. Ale rzecz wyjaśnia się prosto: Pastwiska są przedewszystkiem udziałem wielkich latyfundyów, które nie mogą zamienić tych przestrzeni na grunty orne, włościanie zaś mają za mało pastwisk. Kiedy byłem w Galicyi, rozgrywał się właśnie ponury dramat sądowy w Monasterzu: sądzono chłopów z dóbr hrabiego Krasińskiego o opór władzy; chodziło o sprawę, w której polała się krew chłopska z powodu pastwisk. To ilustracya do cyfr powyższych.

Dr. J. B. Marchlewski.

Muzeum ludowe imienia Ruskina.

Sheffield. Tumany kurzu i sadzy mieszają się z kłębami dymu. Po ulicach snują się postacie o twarzach nabrzękłych, bladych, napół zezwierzęconych i pooranych bruzdami przez nielitościwą rękę „Kumy—Troski." Okna wystawowe sklepów ofiarują przechodniowi kule do nóg, bandaże, ręce gipsowe i sztuczne oczy. Zmora rozpaczy przygniata piersi, którym brak tchu od zabójczej woni, unoszącej się w powietrzu. Gdy nareszcie opuszczamy miasto i pozostawiliśmy je po za sobą tak daleko, iż możemy napawać wzrok czystym lazurem niebios i zielenią pól oraz parków, a słuch, zmęczony rykiem fabrycznym i piekielną wrzawą uliczną, tonie z rozkoszą w niezmąconej ani jednym dźwiękiem harmonii sfer, wtedy wynurzają się stopniowo z korony bluszczu kształty organicznie zrosłego z łonem natury budynku, przypominającego kościołek wiejski. Jest to muzeum Ruskina, nietylko jego imienia, ale jego własne dzieło, a jeśli kto woli — arcydzieło, gdzie każda drobnostka, każdy szczegół nosi piętno myśli i dążeń wielkiego marzyciela. Zbytecznem byłoby dodawać, iż cała organizacya tem bardziej mówi nam o jego ideałach „nie z tego świata."

Przedewszystkiem uderza nas szczupłość rozmiarów instytucyi i jej oddziałów oraz prawie zupełny brak rzeczy oryginalnych. W większości wypadków oglądamy własnoręczne kopie Ruskina i jego uczniów, zdjęte z utworów szkoły ukochanej przez mistrza.

To pozorne ubóstwo jakościowe i ilościowe przybytku nie jest wynikiem przypadkowego zbiegu okoliczności, ani objawem zasady „lepszy rydz, niż nic," lecz wypływa organicznie z intencyj Ruskina. Chciał on stworzyć nie przynętę dla gapiów lub pyszne zbiorowisko arcydzieł, gdzie oko widza, olśnione bogactwem, nie może ani ogarnąć całości, ani spokojnie zatrzymać się nad pojedynczym okazem w obawie straty czasu; lecz przedewszystkiem szło mu o to, aby obudzić w człowieku-pracowniku pogrzebaną pod warstwami spraw codziennych tęsknotę do piękna i miłość do sztuki. Bezwarunkowo zaś obcą mu była chęć udzielenia informacyj historycznych i wskazówek profesorskich. Tu, wśród tej melodyjnej ciszy przyrody, wśród nastroju uroczystego, niezakłócanego ani świstem lokomotywy, ani płaczem błądzącego po ulicach zgłodniałego dziecka, tu w zetknięciu z majestatem piękna nadziemskiego pauper angielski, przytłoczony pospolitym ciężarem myśli o chlebie powszednim, miał się dowiedzieć, iż nawet w jego zaskorupiałem od nędzy sercu mogą dźwięczeć tony, jak chcą estetycy, „w przeczuciu wiecznego szczęścia," niby harfa Eola przy muśnięciu zefira. Ruskin nie wprowadza nas odrazu do świątyni sztuki. Wychodząc ze swej znanej zasady o nierozłączności przyrody a piękna, zaprasza przedtem przybysza do rozejrzenia się w „zjawiskach" przyrody. I tu bowiem nie przedstawia nam żadnych systematycznych zbiorów ani herbarium, lecz chce uradować wzrok grą kolorów. W akwaryum tedy pływają ryby pstre i zagadkowo mieniące się kolorami, pochodzące z głębin morskich. Wokoło lśnią wielokolorowym bukietem barw kamyki, których ornamentykę można podziwiać przez znajdujące się tuż pod ręką specyalne lupy. Papugi i pawie uzupełniają tę melodyę kolorów, której akompaniują rozstawione wkoło bukiety. W fundacyi bowiem znajduje się stała rubryka, przeznaczona na świeże codzień kwiaty.

Przejście od natury do sztuki stanowią wyroby rąk ludzkich, materye rozmaitych wzorów i barw, ugrupowane w sposób nader pomysłowy. Obok rzeczy szpetnych znajdują się okazy gustowne, a katalog muzeowy, a raczej podręcznik („Principles of art"), daje dokładny rozbiór utworów brzydkich i pięknych, zestawiwszy zaś je, wysnuwa z tej porównawczej krytyki wnioski estetyczne. W oddziale tym znajdujemy rzeźby, medaliony i wogóle wszelkiego rodzaju sztukę stosowaną do przemysłu. Podobnie jak w oddziale pierwszym, Ruskin występuje w roli apostoła powino-

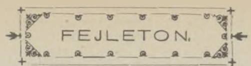
wactwa przyrody ze sztuką, tak tu głosi on pierwszy w Europie ewangelię sztuki stosowanej.

Oddział trzeci, muzeum sztuk pięknych we właściwem tego słowa znaczeniu, jest również krwią z krwi i kością z kości Ruskina. Zobaczymy, jak zaszczepia on w duszy prostaka zmysł piękna i rozumienie zadań artysty i istoty sztuki. Za punkt wyjścia bierze on krajobrazy. W jednym rzędzie zatem rozwieszono zdjęcia fotograficzne miejscowości słynnych ze swej malowniczości, a tuż obok umieszczono odnośne pejzaże i akwarele. Widz więc odrazu ma pojęcie, na czem polega procedura artysty, jego sposób patrzenia na świat i odtwarzania go. Przerzuciwszy most do twórczości bardziej złożonej i mniej zależnej od rzeczywistości, Ruskin przechodzi do utworów klasycznych. Grupuje on je podług rozmaitych tematów. Tak np. serya jedna ilustruje znaczenie „ręki ludzkiej" jako wyrazu duszy (mimika np.) Dalej znajdują się próbki stylów architektonicznych. Przy tej sposobności Ruskin rozwodzi się w swym przewodniku nad stosunkiem architektury do malarstwa w rozmaitych okresach rozwoju sztuki, poczem przechodzi do obrazów, oddając pierwszeństwo swej ulubionej szkole Quattrocento, zgodnie z zasadami kierunku preraf'aelistów. Są tu Fra Angelico, Botticelli, Perugino itd., jakeśmy już nadmienili, tylko w postaci kopij.

Taki jest spis inwentarza i urządzenie muzeum Ruskina. Od 26 lat w popołudnia niedzielne i świąteczne snują się tam postacie o twarzach nabrzękłych, bladych, nawpół zezwierzęconych i pooranych bruzdami przez nielitościwą rękę „Kumy — Troski." Od czasu do czasu widać ludzi na kulach lub z jednem sztucznem okiem. Na twarzach wszystkich jaśnieje zaduma i cicha radość. Instytucya Ruskina jest przedewszystkiem pionierką w dziedzinie muzeologii wogóle. Już przed kilkunastu laty, zmarły niedawno Herman Grimm, ojciec nowoczesnej historyi sztuki i autor „Michała Anioła," uznał współczesne galerye obrazów za przeżyte i zupełnie niezdatne pod względem pedagogicznym. Ruskin, jak widzieliśmy, pierwszy pokusił się o reformę. Co zaś ważniejsza, on pierwszy wywiesił sztandar z napisem: „sztuka dla ludu." Po nim dopiero zaczęto urządzać owe słynne zabawy ludowe w Pałacu Ludowym w Londynie, a znacznie później wyłonił się w Danii i Niemczech pomysł oprowadzek po muzeach, popularnych koncertów itd. Prąd sztuki demokratycznej płynie dziś jeszcze wązkiem łożyskiem strumyka. Miejmy nadzieję, iż z czasem przybierze rozmiary potoku, rwącego po drodze wszelkie przegrody przesądów i egoizmu społecznego. Sztukę czekają w przyszłości ciężkie lecz szczytne zadania.

Jeden z młodszych filozofów niemieckich (Joel) w swej najnowszej książce („Philosophenwege") w ten sposób wykpiwa obojętność swych kolegów: „Ten potężny prąd, co dziś z kupca robi gorliwego słuchacza wykładów wieczornych, co każe lekarzowi zrzec się kanikuł ze względu na medyczne kursy wakacyjne, co wypędza kobietę z kuchni i magazynu mód do audytoryum uniwersyteckiego i biblioteki robotniczej, ten prąd, który święci swą potęgę w lekturze przy lampie nocnej i cichej tęsknocie za wyzwoleniem, zapłodnieniem i wzniesieniem ducha naszego — temu parciu do oświaty my, cechowcy uniwersyteccy nieśmy nie dali. Znowu nastał ów wielki czas, kiedy grunt czeka posiewu — a ci, co mają siać, siedzą w swych szarych komórkach, liczą, mierzą i zbierają zwiędłe liście." *Mutatis mutandis*, można powyższy zarzut zastosować do artystów.

P...a.



LIBERUM VETO.

Precz z oczu! — A z sumienia?

Ustawiczne wstrząsanie systemu nerwowego przyjemnością ciała, które jej nie wywołuje i nie żąda; karmienie się czarnem mięsem z dodatkiem czterech salaterek sałaty, doprawionej śledziem wędzonym; nadmiar alkoholu, bez którego „wykonywanie zawodu jest niemożliwe"; nadużywanie wódki, która w ustach jest wodą, a w gardle żarem; życie klasztorne przy zapuszczonych żaluzyach, śród ciemności, śród spleenowej nudy dni chmurnych i słotnych, gwałtowne przejście z nocy dnia do płomiennego dnia nocy; bezsenne znużenie w pracy; ciągły niepokój o długi, które bezustannie rosną i przepędzają kobietę z jednego zakładu do drugiego; obawa jutra, w którem wszędzie jej powiedzą: „moja dziewczyno, jesteś już za stara"; pobyt w szpitalu, z którego można nigdy nie wyjść; straszne poczucie istnienia po za prawem ogólnem, bez obrony i ratunku przeciwko niesprawiedliwości; świadomość nieposiadania własnej woli i ulegania kaprysom i żądaniom władzy, gospodyni i każdego przybysza; codzienne odczuwanie swego upośledzenia i swojej hańby" — oto nieszczęśliwa służebnica zwierzęcych potrzeb mężczyzny według E. Goncourta (*La fille Elisa*).

Nasze społeczeństwo jest bezlitosne dla tych istot małej winy i ogromnego nieszczęścia, więc też nasza literatura nie wypowiedziała w ich obronie ani jednego miłosiernego słowa. Wspominamy o nich z obrzydzeniem, spędzamy je zarówno z kart poczytnej książki, jak z chodnika ludnych ulic, pozwalamy krążyć jedynie w mrokach i, pustkowiach, zdala od wrażliwych i niewinnych oczu. Przechodnie, spotkawszy gromadę okutych w kajdany zbrodniarzów, prowadzonych na miejsce pokutnej kary, zatrzymują się, spoglądają na nich ze współczuciem. Ale nikt, mijając sromotny pręgierz, pod którym stoi kupcząca swem ciałem jawnogrzesznica, nie da jej Chrystusowego przebaczenia. Podobnież bohaterami naszych powieści i dramatów bywają mordercy, ojcobójcy, oszuści, zdrajcy, panny sprzedające swe ciało przez licytacyę konkurentom, żony bawiące się sportem wiarołomstwa, rozpustnice pod maską przyzwoitości dochodzące do granic bezwstydu — wszystkie te postacie zgniłe, wstrętne, zaraźliwe i gorszące uważamy za godne miejsca w sztuce i na widnokręgu dusz najbardziej niepokalanych. Tylko *te — te*, są wyłączone, o ile, rozumie się, nie mają salonów, nie jeżdżą powozami, nie noszą strojów, służących za wzór damom, które wytrzymując cierpliwie dokuczliwy ucisk konwenansu, po cichu zazdroszczą im powodzenia.

Ale nie, czasem zniecierpliwieni i oburzeni przerywamy wzgardliwe milczenie. Zwykle ktoś, kto chce złożyć publiczne świadectwo swej niewinności, kogo rozdrażniła natrętna zaczepka lub tylko widok ulicznicy, wreszcie ktoś, przed kim ona zbyt często staje jako mara przykrych wspomnień, wnosi skargę do trybunału prasy i daje hasło do wystąpień przeciwko „ćmom nocnym." Wtedy rozpoczyna się prawdziwie pospolite ruszenie bolejących ojców, matek, matron, obywateli itd., całej tej rzeszy, która dostarcza wart twierdzom cnoty. Wspaniały poryw!

Właśnie teraz patrzymy na ten szlachetny wybuch. Jeden z dzienników zatrąbił pobudkę do ataku na bezecne nocnice, które uwijają się po ulicach uczęszczanych. Natychmiast odezwał się cały zastęp oburzonych, prawie cierpiących od zgrozy, którzy podziękowawszy czujnemu rycerzowi, stanęli z ostremi piórami obok niego do boju. Naturalnie tryumf jest niewątpliwy — „ćmy" będą pokonane. Chwała dzielnym obrońcom!

Ale jakolwiek wygrać taką bitwę jest wielkim zaszczytem, czy wszakże głowy, uwieńczone zwycięzkimi wawrzynami, nie powinnyby pomyśleć o tem, ażeby nieprzyjaciel przestał istnieć i odradzać się? Przegnać wściekłe zwierzę z jednej kryjówki do drugiej, zamknąć trędowatego bardzo łatwo, a czasem bezpiecznie; ale czy nie lepiej, chociaż trudniej, byłoby wytępić zupełnie trąd i wściekliznę? Mściciele krzywd naszej moralności chcą usunąć „ćmy nocne" z ulic; czy nie uważaliby za stosowne zużytkować swoją energię na usunięcie ich z życia? Prawdopodobnie zacny panie, który dziś tak rozpaczliwie opędzasz się napaściom tego ohydnego roju plugawych owadów, pamiętasz, że jeśli nie ty, to twoi znajomi i przyjaciele kiedyś bardzo chętnie go poszukiwali, a nawet bardzo czynnie pomnażali? Prawdopodobnie zgorszony obywatelu przyznajesz, że ta przeklęta instytucya jest stworzona dla mężczyzn i podtrzymywana przez mężczyzn? Prawdopodobnie słyszałaś lub widziałaś, że armia bezwstydnic, która tak obraża twoje uczucia, a nadewszystko twoje oczy, rekrutuje się z istot podstępnie uwiedzionych, niecnie oszukanych, nikczemnie porzuconych, z ofiar męskiej zwierzęcości, rozpasania, okrucieństwa i tego właśnie bezwstydu, który cię w tych ofiarach najbardziej razi. Jeżeli zaś tak wygląda rachunek sumienia męskiego i społecznego, jeżeli wina, która wytwarza hańbę, jest daleko większą, niż wina, która ją nosi, czy z tego stosunku nie rodzi się prawo moralne, które upoważnia skrzywdzone do rzucenia krzywdzicielom nakazu:

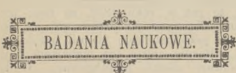
„Milczeć, obłudnicy! My cierpimy strasznie za naszą łatwowierność i omyłki, a gdzie wasza pokuta za naszą mękę? Na kolana przed naszą niedolą, która jest waszem dziełem!"

Tak, mężczyzna powinien milczeć i obmyślać sposoby zmazania sromoty — własnej. Kto naprzód ujarzmił istotę słabą i uczynił ją podnietą, używką i nasytem swoich namiętności, kto ją samolubnie wyzyskał, upodlił, następnie zniesławioną wygnał po za granice społeczeństwa i prawa, ten nie może być jej surowym sędzią. Anioł sprawiedliwości strąca go z tego siedliska i każe mu pokornie stanąć w charakterze podsądnego — przed kim? Przed kobietą. Tylko ona może i powinna podnieść głos skarżący pokalana — przeciwko swemu pohańbieniu, czysta — przeciwko bezkarnej samowoli względem jej płci. Gdyby kobieta uczciwa mniej dbała o wrażenia swoich oczu i gdyby ona w piętnie frymarczącej swem ciałem ulicznicy widziała odbicie gorszego piętna występku mężczyzny; gdyby ona go wychowywała w odrazie do uwodzicielskiego bezprawia i bezkarności; gdyby ona wogóle nie ślizgała się wzrokiem po zewnętrznych objawach, lecz spojrzała głęboko w ich przyczyny, nie pisałaby płytkich listów z ubolewaniem do redakcyi, lecz występowałyby z protestem zasadniczym, w stronę rzeczywistej winy zwróconym. Nie przeczę, szanowne panie, że widok jaskrawo ubranych, zuchwałych, cynicznych, natrętnych rozpustnic jest bardzo nieprzyjemny, ale wystawcie je sobie w innym obrazie, kiedy one są kuszone i oszukiwane przez obłudnych mężczyzn, kiedy zostają wygnane z domu rodzicielskiego, rodzą skrycie nieprawe dzieci, które podrzucają w wagonach kolei i bramach domów, kiedy hańba wypędza

je ze społeczeństwa i pozbawia praw ludzkich, kiedy w nędzy i rozpaczy pukają do zakładów najstraszniejszego zarobku, kiedy na ulicach, drżąc w zimnie i szarudze, żebrzą przechodniów raczej o litość nad swojem ubóstwem, niż o zachwyt nad swem sponiewieranem ciałem, kiedy kroczą tą błotno-ciernistą drogą, o której mówi Goncourt. Wtedy dopiero, kiedy wpatrzycie się w ten obraz, piszcie skargi do dzienników. Wtedy również uwierzycie, że gdyby na zaryglowanych wrotach piekła, w którem cierpią te potępienice, nie było napisu: „ci, którzy tu wchodzicie, porzućcie wszelką nadzieję,“ one by z niego uciekły.

Promień koła sprawiedliwości i miłosierdzia wydłużył się już dziś tak daleko, że sięga do ostatnich, do najbardziej upośledzonych kręgów społeczeństwa. Kalecy, zwyrodniali, złoczyńcy są przedmiotem troski dusz szlachetnych, noszących w sobie pamięć dziejów i znajomość przyczyn ludzkiej niedoli. Dlaczegoż to hasło nie objęło jeszcze najnieszczęśliwszych, bo najbardziej skrzywdzonych? Lykurg, który założył podwaliny domów rozpusty i uorganizował mężczyznom swego kraju „niezbędną wygodę,“ nie zastanawiałby się nad tem pytaniem; ale my humaniści XX wieku, my wyznawcy Chrystusa, my czciciele świętej Magdaleny?

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

J. J. Bachofen *).
(1861—1901).

Czterdzieści lat upływa w roku bieżącym od ukazania się dzieła epokowego w zakresie historyi rodziny i cywilizacyi pierwotnej, które prócz tego wywarło dość silny wpływ i na rozwój pojęć społecznych wogóle. Mam tu na myśli „Prawo macierzyste“ („Das Mutterrecht.“ Eine Untersuchung über die Gynaikokratie der alten Welt nach ihrer religiösen und rechtlichen Natur), ogromny tom, który w r. 1861 wyszedł w Sztutgarcie. Autorem tego dzieła był Jan Jakób Bachofen, sędzia apelacyjny w Bazylei, b. docent prawa rzymskiego przy tamtejszym uniwersytecie. Nie było ono pierwszą pracą autora; zawierało w sobie prawdziwy przewrót w pojmowaniu instytucyj świata klasycznego, greckiego i rzymskiego. Pomimo to specyaliści, prawnicy, historycy i filologowie, na razie i przez długi czas nie zwrócili na nie żadnej uwagi; Bachofen stał się dla nich trochę więcej znanym dopiero w r. 1870, gdy polemicznie wystąpił przeciw „wielkiemu“ Mommsenowi w obronie czynnej roli matron rzymskich w legendzie o Koryolanie. Natomiast czujni etnografowie, Morgan i Mac Lennen natychmiast wyzyskali odkrycie Bachofena. Za pośrednictwem Morgana zapoznał się z niemi i Fryderyk Engels — i jeśli imię odkrywcy „Prawa macierzystego“ znane jest pewnym szerszym kołom publiczności, to z pewnością jedynie dzięki wzmiance o nim w „Początkach cywilizacyi“ Engelsa. Pomimo bowiem zasług, położonych przez Bachofena na polu badań starożytniczych wogóle, niema o nim, rzecz dziwna, żadnej wzmianki nawet w „Encyclopedia Britannica,“ w „Conversations-Lexicon“ Brockhausa, ani w nowej francuskiej „Grande Encyclopédie.“ Dopiero w r. 1889 uczony, choć mało znany geograf i etnograf, pracujący w Paryżu, p. Mikołaj Rusanow, z okazyi śmierci Bachofena ogłosił w *Ruskiej Myśli* życiorys jego, oparty na wiadomościach, sumiennie acz nieobficie zebranych od ucznia zmarłego, Giraud-Teulona, i przyjaciela, Eliasza Reclus, znanych badaczy kultury pierwotnej. Z życiorysu tego zaczerpniemy następujących kilka faktów:

Bachofen urodził się w r. 1815 w Bazylei, ze starożytnej i bogatej rodziny patrycyuszowskiej tego miasta. Po ojcu, fabrykancie tkanin jedwabnych, otrzymał spadek 10-milionowy. Od dzieciństwa żył w otoczeniu wysoce kulturalnem i artystycznem, posiadał też przepyszne zbiory obrazów i starożytnych waz oraz posągów. Po odbyciu w uniwersytetach bazylejskim, berlinskim i getyngskim studyów prawnych, które zresztą traktował bardziej ze stanowiska historycznego i filozoficznego, dopełniał je w Paryżu i Londynie; szczególnie go zajmowało prawo angielskie, jako wykazujące w najwyższym stopniu ciągłość historyczną. Docenturę prawa rzymskiego, objętą w Bazylei w r. 1841, rzucił już w dwa lata potem i oddał się całkowicie samodzielnym studyom nad starożytnością klasyczną, dzieląc swój czas między pracą gabinetową a podróżami po Włoszech, Hiszpanii, Grecyi, gdzie na własną rękę prowadził rozkopywanie. Podczas tych poszukiwań pewna urna pogrzebowa, a raczej napis na niej, naprowadził go na pierwszą myśl o prawie macierzystem, które poprzedzało patryarchat. Ożenił się w późnym już wieku, mając przeszło 50, i umarł na apopleksyę d. 28 listopada 1887 r., zostawiając po sobie jedynego syna, również Jana Jakóba.

Po tezie doktorskiej, napisanej w r. 1838 na temat rzymskiego prawa zastawniczego, Bachofen wydał pierwszą swą pracę w r. 1851: był to pierwszy tom „Dziejów Rzymian,“ dzieła rozpoczętego na współkę z prof. Gerlachem, lecz nie ukończonego nigdy. W r. 1859 wydana „Próba wytłomaczenia symbolistyki nagrobków u starożytnych“ („Versuch über die Gräbersymbolik der Alten“) wprowadza go już we właściwy jego zakres: starożytnictwo. Dalszym ciągiem tej pracy jest „Orficka doktryna nieśmiertelności w starożytnych pomnikach grobowych“ („Die Unsterblichkeitslehre der Orphischen Theologie auf den Grabdenkmalern des Alterthums,“ 1867). Na czas pomiędzy temi dwiema pracami przypada właśnie główne dzieło Bachofena: „Prawo macierzyste. Studyum nad żonowładztwem świata starożytnego w jego naturze religijnej i prawnej“ (1861). Uzupełnienie jego stanowi „Das Lykische Volk“ (1862), „Mutterrecht“ i następne prace: „Legenda o Tanaquili“ (1870), „Mommsen's Kritik der Erzählung von Cn. Marcius Coriolanus“ (1870), wreszcie dwa tomy „Listów antykwarskich, dotyczących przeważnie najdawniejszych pojęć o pokrewieństwie“ (1880—1886), stanowiących też główne źródło do poznania jego poglądów. Zaczniemy od treściwego przedstawienia tych poglądów, poczem określimy ich znaczenie i stanowisko Bachofena w historyi rozwoju filozofii społecznej.

I.

Przypatrując się patryarchatowi rzymskiemu, Bachofen widzi w przeprowadzaniu i wykonywaniu tego systemu taką surowość i bezwzględność, które wytłomaczyć sobie można, zdaniem jego, tylko w ten sposób, że ów system powstał ze zwycięzkiej ale upartej walki z poprzedzającym, wręcz przeciwnym mu systemem. Rzeczywiście, w dokumentach historycznych, literackich i mitologicznych, które nam pozostawiła starożytność klasyczna, można znaleźć liczne ślady tej walki i zjawiska, dające się zrozumieć nie inaczej, tylko jako pozostałości okresu poprzedzającego, w którym nie ojciec, lecz matka była ośrodkiem pokrewieństwa i posiadaczką władzy naczelnej w rodzinie i w państwie. Szczególnie wiele znajdujemy takich danych co do ludów „barbarzyńskich,“ z którymi się stykali Rzymianie i Grecy: prowadzenie rodowodu po matce, dziedziczenie po rodzinie matki, władza wuja, a nie ojca, nad dziećmi, traktowanie męża jako obcego i niższego, wyposażanie braci przez siostry itp. Lecz i u Rzymian, a szczególnie u Greków, widzimy, jeśli nie same już formy materyalne, to ślady walki między niemi a patryarchatem. Najbardziej uderzający ślad taki odkrył Bachofen pierwszy, a dopiero po nim — Mac Lennan, Lafargue, Lippert i inni, w tragedyi Eschyla „Eumenidy.“ Furye, te boginie dawniejszego okresu, prześladują tam Oresta za to, że zamordował matkę swą, Klitemnestrę, a nie przyjmują jego usprawiedliwienia, opartego na tem, że Klitemnestra zdradziła i zabiła ojca jego, Agamemnona, ponieważ żona nie jest jednej krwi z mężem, a syn bliższy jest matce, niż ojcu. Lecz Apollo, bóg nowej formacyi „słonecznej,“ rozstrzyga sprawę na korzyść Oresta, w imię nowej zasady — patryarchalnej — że: „ojciec nie matka, rodzi syna; ona przechowywa tylko w sobie zasiane życie.“ Na zasadzie takiej interpretacyi faktów, mitów i symbolów, w której szczegóły tu się wdawać nie możemy, Bachofen dochodzi do wniosku, że rodzina, zgrupowana wokół matki, poprzedzić musiała ojcowską,—a to tem bardziej, że jedynie altruizm, zrodzony w sercu kobiety, jako matki, pierwej niż w mężczyźnie, mógł wyprowadzić społeczeństwo ze stanu pierwotnej dzikości i brutalności.

Macierzyństwo więc było podstawą pierwszego uspołecznienia i uobyczajenia, źródłem pierwszej religii, pierwszych cnót, pierwszego porządku społecznego. Porządek ten Bachofen określa następującemi słowy, które odznaczają się w oryginale niepospolitą pięknością stylu i świadczą o patryotycznym polocie myśli. „Jak ograniczanie właściwe jest zasadzie ojcowskiej, tak powszechność odpowiada macierzyńskiej: jeśli tamta niesie z sobą zamykanie się w ciaśniejszych kołach, ta, podobnie jak *życie przyrody samej*, nie zna żadnych granic. Z macierzyństwa wypływa powszechne braterstwo wszystkich ludzi, którego świadomość i uznanie ginie z utworzeniem się ojcowstwa. Rodzina, oparta na prawie ojcowskiem, zamienia się w zamknięty organizm, macierzysta — nosi przeciwnie to typowe *znamię powszechności, które cechuje początek wszelkiego rozwoju* i które odróżnia życie *materyalne* od wyższego duchowego... Patryarchat *rozkłada jedność masy i sprowadza zróżniczkowanie*... Z zasady macierzystej wypływa powszechne braterstwo i równość, które są często głównym rysem ludów gynekokratycznych, gościnność, stanowczy wstręt do jakichkolwiek ograniczeń, uczucie sympatyi krewniaczej, obejmujące równomiernie wszystkich członków ludu. Szczególnie słyną te społeczeństwa *z braku wewnętrznych niezgod*, zamiłowania pokoju. Nawet na twarzach figur egipskich znać ów wyraz łagodności ludzkiej, w którym przejawiają się wszystkie błogosławieństwa ducha macierzyńskiego. Owo dawne pokolenie ukazuje nam się w świetle błogostanu saturnicznego; z niego wzięto barwy do obrazu *wieku srebrnego*... Życie ludu nie wyszło było jeszcze wówczas ze stanu *harmonii naturalnej*.“ Macierzyństwo dało też początek religii: odpowiada ona potrzebie serca macierzyńskiego, żałowi za zmarłem dziecięciem, pragnieniu, aby jego śmierć nie była ostateczną. Stąd kobieca intuicya tajemnic; stąd magiczny wpływ kobiety na brutalnych ludzi i wysoce religijny charakter całego ustroju macierzystego.

Ale ustrój ten nie jest najpierwszą formą bytu ludzkości. Jak u Jana Jakóba Rousseau, tak i u Bachofena znajdujemy

*) Z wykładów w Uniwersytecie Nowym w Brukseli.

odróżnienie dwoch kolejnych „stanów natury“; drugi u obydwóch jest okresem harmonijnej organizacyi rodzinno-wspólnościowej; pierwszy— okres braku wszelkiej organizacyi —jest u Rousseau'a wyidealizowany bardziej jeszcze, niż drugi; u Bachofena — przeciwnie — ten stan „czystej natury“ przedstawiony jest, jako stan dzikości zupełnej, z którego dopiero urok religijny i moralny matki, a w niektórych wypadkach — wprost energiczna walka kobiet, wyprowadziły ludzkość. Był to mianowicie okres *heteryzmu*, czyli zupełnego nieuregulowania stosunków płciowych, kierowania się wyłącznie instynktem, prawem natury. W okresie tym kobieta jest bezbronną ofiarą chuci mężczyzny. Poniżenie i cierpienia doprowadzają ją do oporu, w pewnych wypadkach — do zbrojnego buntu, którego objawem jest *amazonizm*, w podaniach przechowywany; przesadna wyłączność tej formy bytu kobiecego, wrogi stosunek do mężczyzny daje się wytłomaczyć jedynie reakcyą przeciw poprzednim jego nadużyciom. Zbrojną walką, czy też uczuciową swą wyższością kobieta zwycięża, ogranicza stosunki małżeńskie, zapewnia opiekę dzieciom, staje się władczynią rodziny, „wprowadza zasadę Demetryjską na miejsce Afrodytyjskiego *jus naturale*,“ a jednocześnie usuwa wogóle panowanie przemocy, ciągłe walki brutalne, zaczyna za pomocą miłości i pojednania wychowywać ludzkość. Lecz że heteryzm istniał i ustępował z wielką trudnością, świadczą o tem charakterystyczne pozostałości, których inaczej zrozumieć niepodobna: misterya demetryjskie, prostytucya, jako obrzęd religijny, obowiązek oddania się wszystkim krewniakom przed zawarciem monogamicznego, ściśle już potem przestrzeganego małżeństwa. Z biegiem czasu to prawo całej gromady do kobiety ulega coraz większym ograniczeniom: niektóre tylko kobiety wypełniają ten obrządek, albo też zastępuje go symboliczne obcięcie włosów młodej mężatce na ofiarę, albo zamiast całej gromady wykonywa prawo jej przedstawiciel — kapłan, ojciec, wódz. Bachofen pierwszy rzuca tu światło na ciekawe obyczaje ludowe, zbliża się nawet do objaśnienia średniowiecznego *jus primae noctis* czem innem, niż prostą tylko przemocą pańską, — tak samo, jak pierwszy rzuca światło na inny, u wszystkich ludów rozpowszechniony zwyczaj, zwany *couvade*, a polegający na tem, że ojciec udaje bóle porodowe. Zdaniem Bachofena, zwyczaj ten, oznaczający wejście ojca w prawa i obowiązki matki, datuje się z epoki przejściowej między prawem macierzystem a patryarchatem.

Prawo macierzyste, wyparłszy w końcu jednak całkowicie heteryzm, przenika do głębi całe życie Greków i Rzymian i pozostawia na długo po sobie ślady nawet wtedy, kiedy z kolei wyparte było przez patryarchat. W historyi rzymskiej znamy np. postać Tanaquil, kobiety mądrej i energicznej, która męża swego Tarkwiniusza Starego, robi królem, potem znika na jakiś czas, a po jego śmierci znów się zjawia i oddaje rękę i tron Serwiuszowi Tulliuszowi, którego imię nawet świadczy o niewolniczem pochodzeniu. Bachofen odnajduje wiele legend azyatyckich o królowych, widocznie naczelniczkach plemion matryarchalnych, które ludzi obcych i niskiego rodu wprowadzały, jako swych mężów, na tron; etnografowie odnajdują także „koronowane hetery“ we współczesnej Afryce — jak np. królowa państwa Lunda (Max Büchner) lub Barotse (Coillard). Lecz najdłużej kobieta zachowuje swą misyę i przywilej wtajemniczania religijnego. Wśród całkowicie już patryarchalnego społeczeństwa zjawiają się w szkole Pytagorasa uprzywilejowane, czcią otoczone kobiety wieszczki, jak Theano, których stanowisko nie da się w żaden sposób objaśnić otaczającymi warunkami, lecz tylko — że użyjemy właściwego terminu — retrospekcyą religijną ku matryarchatowi. Jeszcze później, wśród poniżenia, w jakiem żyły kobiety w świecie jońskim, znajdujemy Sokratesa u nóg wieszczki Diotimy, „z trudnością zdążającego za natchnionym lotem jej mistycznego objawienia.“

Dalszy rozwój niejednakową poszedł drogą w Grecyi i w Rzymie. „Przez wzmacnianie się aż do krańcowości wszelka zasada sprowadza zwycięstwo zasady przeciwnej; nadużycie samo staje się sprężyną postępu; najwyższy tryumf — początkiem upadku.“ W Grecyi zasada demetryjska kobiecej czystości i surowości obyczajów doprowadziła do jakiegoś nowego amazonizmu, który spowodował reakcyę bachiczną, dyonizyjską. Za nową religią, nowemi misteryami, poszło wiele kobiet — i mężczyzn. A był to kult nawskroś rozkładowy, niszczący wszelkie różnice i więzy, „powracający życie społeczne znów ku prawom życia materyalnego.“ Ten postęp umysłowości pociąga wszędzie za sobą rozkład organizacyi politycznej, upadek życia państwowego. Miejsce bogatego zróżniczkowania zajmuje zasada demokracyi, niezróżniczkowanej masy, owa równość i wolność, które odróżniają życie naturalne od cywilizowanego i właściwe są cielesnej stronie natury ludzkiej... Religia dyonizyjska jest apoteozą użycia Afrodyty i zarazem powszechnego braterstwa, wskutek czego specyalnie lgną do niej stany służebne, a popierają ją dla swych demagogicznych celów tyrani: Pizystratydzi, Ptolomeusze, Cezarowie... Ta nowa, dyonizyjska gynekokracya, natury nie prawnej, lecz obyczajowej, zmysłowością demoralizuje świat grecki i nie pozwala w nim stężeć i utrwalić się należycie pierwiastkowi patryarchalnemu, reprezentowanemu przez kult Apollina Delfickiego.

Dokonał tego dopiero Rzym, dzięki temu, że byt swój oparł nie na religii tylko, lecz na twardem prawie państwowem. Rzym oparł się wszelkim pokusom kultu Izydy i Cybeli, przemógł nareszcie zupełnie jarzmo prawa macierzystego. Bo „macierzyństwo należy do cielesnej strony bytu ludzkiego, przypomina wciąż łączność człowieka z całą naturą. Uduchowiona ojcowska zasada jest jedynie człowiekowi właściwą; przez nią uwalnia on się od posłuszeństwa zjawiskom samej natury, łamie węzły telluryzmu... Tam — ograniczoność i materya, tu — uduchowienie i rozwój; tam — nieświadomie prawidłowe życie, tu — indywidualizm; tam — oddanie się naturze, tu — wzniesienie się ponad nią, przełamanie odwiecznych ograniczeń, dążenia i cierpienia prometejskie zamiast miłego spokoju, niezamąconego używania i wiecznej dziecinno-starczej niedojrzałości...“

W ramy takiego to szeroko zakreślonego cyklu rozwojowego Bachofen wkłada tysiące faktów historyi klasycznej, którymi rozporządza jego olbrzymia erudycya. Odrazu widać, jak w tej historyozofii mieszają się przestarzałe wpływy idealistycznej filozofii niemieckiej z metodami i pojęciami paletnologii nowożytnej. Przyjrzymy się bliżej temu zjawisku i spróbujemy określić jego znaczenie.

Dr. K. Krauz.

Profesor Marceli Nencki.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 14 b. m. na polu nauki europejskiej, śmierć zatknęła czarną chorągiew; w dniu tym bowiem doszła do Warszawy telegraficzna wiadomość o zgonie profesora Marcelego Nenckiego w Petersburgu. Potężny filar nauki współczesnej, badacz pierwszorzędny, umysł ogarniający całość wiedzy przyrodniczej w jej wszelkich gałęziach, twórca szkoły, która już wydała szereg uczonych z pożytkiem dla nauki pracujących, zakończył swój pracowity, pełen zasług żywot.

Nencki zstąpił do grobu w sile męzkiego wieku i pełnym rozwoju, bo w 55-ym roku życia; mógłby więc jeszcze dla nauki długie pracować lata. Ale to, co już zrobił, stawia go w rzędzie najsławniejszych badaczy, których imię, niczem nieprzyćmione przez długie lata jaśnieć będzie. Jeżeli dla całego świata naukowego śmierć Nenckiego stanowi olbrzymią stratę i niczem niezapełnioną szczerbę, to dla nas strata owa jest jeszcze boleśniejszą, jeszcze dotkliwszą, gdyż Nencki był uczonym polskim, był synem naszej ziemi, która nie obfituje w ludzi tej co on miary.

Nieodżałowanej pamięci profesor urodził się dnia 15 stycznia 1847 roku w majątku rodowym Boczkach w ziemi Sieradzkiej. Skończywszy wcześnie gimnazyum w Piotrkowie, udał się na wszechnicę krakowską, a następnie do Jeny i Berlina, gdzie się studyom filozoficznym poświęcał. Zamiłowanie do nauk przyrodniczych skłoniło go do zapisania się na wydział lekarski w Berlinie, gdzie po czterech latach uzyskał stopień doktora medycyny. Pracowitość i wytrwałość, z jaką się oddawał badaniom na polu chemii fizyologicznej i patologicznej, jeszcze będąc na studyach, odniosły ten skutek, że już w roku 1872, za radą profesora Naunyna powołano go na asystenta przy instytucie chemii patologicznej w Bernie, gdzie też niebawem objął docenturę chemii patologicznej. W lat kilka potem, widzimy już Nenckiego na stanowisku profesora i kierownika instytutu chemii patologicznej w Bernie. Osiadłszy w kraju, w którym warunki pracy naukowej może są najkorzystniejsze, rodak nasz swą działalność naukową tak szybko i owocnie rozwijał, że już po latach dziesięciu zasłynął jako pierwszorzędna siła naukowa, pracując nietylko sam, lecz zagrzewając do pracy cały zastęp młodych, żądnych wiedzy badaczy, poruszając najważniejsze zagadnienia z dziedziny biochemii, i oddziaływając potężnie na rozwój nauki o chemizmie życia drobnoustrojów, której właściwie był twórcą.

Nencki pracował dla nauki zgórą lat 30, a to, co w ciągu tego czasu zdziałał, stanowi tak wielki obszar, że dokładny wykaz prac jego, będzie stanowił zadanie niełatwe i pracowite dla bibliografa, nawet wtedy, gdy pominiemy liczne prace jego uczniów, którzy pod jego kierunkiem badania swe wykonywali, a w których to pracach lwia część zasługi do niego należy. Wobec tego, iż prace naszego uczonego wkraczają w dziedzinę bardzo ścisłych i specyalnych badań, dostępnych tylko dla fachowych jednostek, nie byłoby tu celu szerzej o nich mówić, lub szczegółowo je wyliczać; dość wspomnieć, iż głównem dążeniem Nenckiego, które go pochłaniało i nad którem pracował z zapałem. były badania dotyczące związków białka, jako substancyi twórczej i jej własności życiowych. Badania nad wpływem na organizm wielu związków chemicznych, przeważnie przez niego wykrytych, nowe poszukiwania nad trawieniem, badania nad wytworami rozmaitych gatunków bakteryj, czyli cała nauka o toksynach, poszukiwania nad powstawaniem wielu chorób zakaźnych, nad barwnikami krwi, nad sprawami utleniania wogóle itd., oto najgłówniejsze odłamy wiedzy biologicznej, które niemal stworzył, zreformował lub uzupełnił Nencki. Pogląd swój na całość badań biologicznych wypowiedział on w Krakowie na zjeździe przyrodników i lekarzy polskich roku zeszłego w pełnym samoistnych poglądów odczycie p. t. *„Przyszłe zadanie chemii biologicznej.“* Odczyt ten może najlepiej

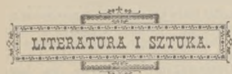
charakteryzuje naszego genialnego uczonego, który nie tając ubóstwa i bezsilności naszej wiedzy teraźniejszej wobec wielkiej zagadki czem jest życie, każe kroczyć wytrwale dalej na drodze badań, i podążać ku ideałowi.

Rozgłośne imię, jakiem się Nencki cieszył w świecie naukowym od lat wielu, ogrom samoistnych prac przezeń ogłoszonych, jak również ten doniosły fakt, że stworzył szkołę ściśle naukową i umiał każdemu badaniu nadać płodny w następstwa kierunek, wpłynęły na to, iż gdy zakładano instytut medycyny doświadczalnej w Petersburgu, powołano naszego uczonego w r. 1892 do niej na kierownika sekcyi chemicznej i pracownię jego uposażono iście po magnacku we wszelkie środki badania. Jak wysoce Nenckiego ceniono, dowodzi tego fakt, iż wszelkie względy dotyczące jego przeszłości, które dla każdego innego stanowiłyby zasadniczą przeszkodę w otrzymaniu tak wysokiej rządowej posady, upadły, jego zaś wartość naukowa, a stąd przewidywany dla instytucyi pożytek, wzięła górę. Zająwszy nowe stanowisko i mając sobie powierzone zbadanie epidemij i epizootyj, często kraj nawiedzających, Nencki wkroczył na nowe pole, oddając się badaniom nad warunkami powstawania cholery, przeprowadził szereg badań nad własnościami dezynfekcyjnemi wielu ciał, udał się na Wschód celem badania zarazy syberyjskiej, wreszcie przeprowadził liczne poszukiwania nad księgosuszem itd. itd. Wszystkie te prace miały nietylko teoretyczne, lecz i bardzo doniosłe praktyczne znaczenie.

Z olbrzymiego obszaru wiedzy, który był polem działalności Nenckiego widzimy, jak wszechstronny to był umysł, i jak wielkie naukowe miał przygotowanie, skoro w każdym zakresie, w każdej naukowej kwestyi, których poruszył wielkie mnóstwo, pozostawił ślady samoistnej pracy twórczej, poczyniwszy liczne odkrycia i wytknąwszy nauce nowe drogi.

Świat naukowy już ocenił, a z czasem jeszcze gruntowniej oceni znaczenie i doniosłość prac Nenckiego dla wiedzy, i niewątpliwie wyznaczy mu w plejadzie niezapomnianych mężów przynależne miejsce; kraj zaś ze łzą w oku uchyli głowę przed trumną kryjącą szczątki jednego z najzasłużeńszych i najdzielniejszych swych synów, którzy z najzaszczytniejszej strony imię polskie dali poznać narodom, uprawiającym naukę.

Dr. H. D.



LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Gliński: *Krzywda*, powieść, str. 445. Nakład Gebethnera i Wolffa. — H. St. Pytliński: *Koledzy*, powieść, str. 270. Nakład księgarni S. Mieczyńskiego. Warszawa, rok 1901.

Niedawno wydana powieść Kazimierza Glińskiego p. t. „Krzywda“ przypomina swą treścią znane powszechnie historye o macosze, prześladującej dobrą pasierbicę i kochającej nad wszystko niegodziwą córkę, lub owe opowieści o złych i dobrych braciach, wysnuwane kiedyś przed nami w szczęśliwem zaraniu dzieciństwa. A przytem, niezależnie od treści, podobnie jak nieznani twórcy bajek, powtarzanych bez końca przy kądzieli w długie wieczory zimowe, autor nie bardzo się troszczy o prawdopodobieństwo sytuacyj i charakterów, nie unika bynajmniej efektów grubo- melodramatycznych, opowiada rozwlekle, czasem się nawet powtarza, lecz mimo wszystkie te wady, spotykane w większym jeszcze stopniu w dawniejszych powieściach Glińskiego („Tarantula,“ „Klęska,“ „Wróci,“ „Losy“), mniej wybredni czytelnicy, którym obecmi pozostały wymagania nowszej techniki powieściopisarskiej, biorą chętnie jego książki do ręki, pociągnięci pewnym rozmachem, a miejscami i barwnością potoczystego wogóle opowiadania, oraz tą sporą szczyptą poezyi i szlachetności uczucia, którą w nich zawsze odnaleźć można. Jest to niewątpliwie coś, jest to nawet z pewnością niemało, ale życzliwa krytyka, ceniąca wysoko Glińskiego-poetę, miałaby może prawo wymagać, od Glińskiego-powieściopisarza czegoś więcej, czego jednak — powiedzmy szczerze — szuka napróżno w utworach powieściowych, wydanych przezeń dotąd osobno. „Pana Filipa z Konopi,“ który w odcinku *Gazety Polskiej* zdołał wzbudzić pewne zainteresowanie, nie czytałem jeszcze. Ta udatna podobno próbka powieści historycznej Glińskiego, o ile wiemy, nie ukazała się dotąd w wydaniu książkowem, więc jej na razie w rachubę nie biorę.

W „Krzywdzie“ tedy opowiada autor dzieje dwóch braci Grudowskich, członków możnego niegdyś i znanego szeroko rodu, którym obecnie, obok „pięknego“ nazwiska, przypadł jeszcze w udziale spory szmat ziemi w nieokreślonym bliżej zakątku kraju, oraz obowiązek, leżący zwłaszcza na sercu dumnej niezmiernie ich matce, pochodzącej ze starego również, lecz zubożałego gniazda Wapowskich, podniesienia na nowo przyćmionego blasku rodziny. Na stosunku właśnie tej matki do obu braci oparte są różne zawikłania powieściowe, których tu powtarzać nie będziemy. Stara pani Grudowska z niewyjaśnionych bliżej powodów, „przez dziwną logikę kobiecą,“ jak tłomaczy autor, ukochała wyłącznie młodszego syna Henryka, na którym spoczęły wszystkie jej nadzieje, a starszego Hipolita uważa za rodzaj intruza, przeszkadzającego tylko skupieniu się w ręku brata całej fortuny Grudowskich i opóźniającego w ten sposób urzeczywistnienie się jej wymarzonej idei. Ukochany Henryk używa życia i traci majątek; nielubiany przez matkę i skrzywdzony przez nią przy podziale dóbr rodzinnych Hipolit, kilkunastoletnią żelazną wytrwałością i pracą, powiększa w dwójnasób swój szczupły dział, co zresztą odbiera mu tylko resztki serca matki, myślącej już tylko o tem, w jakiby sposób przyłączyć jego pięknie zagospodarowany majątek do zadłużonych już i wyniszczonych, choć niedawno kwitnących jeszcze, folwarków Henryka. Jednym ze środków po temu ma być niedopuszczenie do małżeństwa starszego syna — i tu właśnie autor zapomniał, że jest powieściopisarzem współczesnym, obowiązanym do liczenia się ze zwykłą logiką spraw ludzkich. Roztacza on przed czytelnikiem jakieś krwawe obrazy, jakby żywcem zaczerpnięte z melodramatów romantycznych. Dość powiedzieć, że stara pani Grudowska w połowie mniej więcej powieści zawiera tajemniczy związek z wiszącym w jej pokoju portretem Katarzyny de Medicis i samem tylko naprężeniem woli zabija jedną wybraną Hipolita, a potem drugiej, wnuczce wiernego rządcy Sochackiego, do której syn jej przylgnął sercem całem, zadaje śmierć dwukrotnem ukazaniem się tylko i paroma słowami rozmowy...

Co prawda, i postępowanie głównego bohatera powieści, Hipolita Grudowskiego, nie zawsze da się usprawiedliwić zwyczajnem rozumowaniem logicznem. Odpychany przez matkę, usiłuje on długo a bezskutecznie pozyskać jej serce; jest z początku w stosunku z nią uległy, łamie sprężynę ulubionego zegara, by ją swem biciem nie drażnił, to znów „silnym ruchem rąk“ rozdziera chustkę, by jej coś obrazowo przedstawić. Zacząwszy marzyć o szczęściu osobistem w małżeństwie, jest dziwnie niezdecydowany w stosunku do panny Matyldy, do której obłędu przyczynia się niewątpliwie swem postępowaniem, a natomiast nieprawdopodobnie wprost prędko, jak na czterdziestoletniego blizko i takiego, jak on, mężczyznę, zaczyna całować po rękach młodziutką Marynię o oczach fiołkowych i miłość jej wyznawać. Prawda, że odegrała tu znów rolę jakaś tajemnicza melodya, którą on słyszał był kiedyś w duszy, a ona na fortepianie odtworzyła, ale tu właśnie spotykamy się znów z ową manierą pseudo romantyczną, która już dziś w powieści — nie uchodzi.

Autor miewa naturalnie i pomysły szczęśliwsze. Zaliczyłbym do nich np. scenę, w której stary Sochacki, jedna z niewielu tchnących prawdziwem życiem postaci tej powieści, usłyszawszy od swego dziedzica, że zamierza on ożenić się — z Maryą Sochacką, odpowiada krótko: „Nie znam“ — nie przypuszczając ani na chwilę, żeby to mogła być mowa o jego rodzonej wnuczce. Szkoda tylko, że swym zwyczajem powieściopisarz opowiada nam tę scenę dwukrotnie: raz bezpośrednio od siebie, a potem przez usta Hipolita. Jest to właśnie jedno ze źródeł rozwlekłości utworów powieściowych Glińskiego; nie główne zresztą, bo to tkwi w samym sposobie opowiadania, przypominającym bardziej dawne, niepretensyonalne, bezładne trochę gawędy, niż artystycznie opracowane powieści nowoczesne.

Proza Glińskiego, wogóle poprawna, niekiedy barwna i żywa, niezupełnie jednak wolna jest od pewnych niedopatrzeń i usterek. „*Mając* państwa w Górkach, a ją w Grubowie, zaczęło mi się znów *życie* uśmiechać“ — czytamy np. na str. 317. Jest to barbaryzm, z którym, niestety, zdarza nam się spotykać obecnie nawet u pisarzy, uchodzących skądinąd za prozaików wzorowych. Niepodobna również uznać za poprawne wyrażeń w rodzaju: *przy mnie jest wina*, powtarzających się w tej powieści parokrotnie.

Jeżeli technika powieściopisarska Kazimierza Glińskiego przypomina trochę czasy, gdy w powieści królował u nas Józef Ignacy Kraszewski, to natomiast p. H. St. Pytliński, występujący obecnie z pierwszym utworem powieściowym p. t. „Koledzy,“ jest pisarzem zupełnie nowoczesnym. Tworzy on więcej nerwami, niż głową, żyje jednem życiem z bohaterami swoimi, z którymi zapoznaje czytelnika nie drogą długiego opowiadania, lecz w scenach żywych, kreślonych trochę gorączkowo, ale przeważnie prawdopodobnych i plastycznych, łączących się z sobą logicznie w łańcuch wypadków, które istotnie mogły się zdarzyć i dać taką wypadkową, jaką w powieści dały. Każdy z bohaterów jego żyje życiem własnem, indywidualnem, mówi językiem odrębnym. Są to ludzie, nie figurki jedynie, posuwane dowolnie ręką autora na szachownicy powieściowej.

„Kolegów“ p. Pytlińskiego mieliśmy sposobność czytać przed paru laty w rękopisie, gdyż autor przysłał w swoim czasie ten utwór na konkurs powieściowy *Głosu*, na którym współzawodniczył przez chwilę z „Dobranemi parami“ Godlewskiej. Na niekorzyść jego mówiła wówczas pewna rozwlekłość oraz nieszczególnie obmyślana historya owego konkursu, stanowiącego jedną z osi, około których obraca się treść powieści. „Koledzy“ otrzymali w każdym razie wyróżnienie zaszczytne, a obecne ich wydanie książkowe świadczy, że na to odznaczenie zasłużyli.

Dzięki trafnie dokonanym skróceniom, powieść ta nie razi już obecnie rozwlekłością. Historya konkursu jednak, mimo

zmian dokonanych, stanowi zawsze Achillesową piętę utworu. Czytelnik niebardzo rozumie, co ostatecznie skłoniło Korskiego do nabycia mnóstwa kwitów prenumeracyjnych w celu głosowania za słabym utworem pozera i niegodziwca Halickiego, a zbieg tego dziwacznego pomysłu najmniej prawdopodobnej postaci utworu z podstępem sympatycznej córki redaktora Gromowicza — czyni całą tę historyę jeszcze mniej trafiającą do przekonania.

Po za tem jednak powieść p. Pytlińskiego obfituje w wiele scen ładnych i ciekawych i stanowi zajmujący obrazek z życia młodych marzycieli, umiejących nawet w dzisiejszych szarych czasach „mierzyć siły na zamiary, nie zamiar według sił." Łęski i Korzec, dwaj młodzi studenci prawa, stanowiący zupełną sprzeczność pod wieloma względami, złączeni są jednak uczuciem szlachetnej przyjaźni i wspólnem umiłowaniem promiennych gwiazd ideału, które ich krzepią w ciężkiej pracy i niedostatku. Pod ich natchnieniem roztaczają szlachetną opiekę nad napół upadłem, ale niezepsutem wcale dziewczęciem, którego miłość szczera i bezinteresowna zapewnia w końcu szczęście gburowatemu nieco, lecz zacnemu z kościami Korcowi, gdy subtelny, utalentowany Łęski, właściwy laureat konkursu, na którym nagrodę zabrał mu podstępnie Halicki, na urzeczywistnienie swych marzeń o szczęściu czekać musi długo, aż do powrotu z południa chorej na piersi Reni, która może ze smutnej swej podróży nie wróci do niego wcale...

P. Pytliński zakończył swą powieść znakiem zapytania, pozwalając czytelnikowi dośpiewać sobie nań w duszy odpowiedź wedle własnej woli czy usposobienia. Jakkolwiek ona wypadnie dla bohatera utworu, nie ulega wątpliwości, że w jego młodym autorze przybyła powieściopisarstwu naszemu siła nowa i sympatyczna, od której ma ono prawo oczekiwać w przyszłości rzeczy coraz bardziej zharmonizowanych i wartościowych.

Wł. Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Biegas. Kiedy mniej więcej rok temu Biegas wystawił szereg rzeźb w Salonie Krywulta, jedni śmiali się do rozpuku, inni klepali go protekcyonalnie po ramieniu, przyznając zdolności, lecz radząc się uczyć, jeszcze inni mówili o naśladownictwie, wymieniając nazwisko Rodin'a itd. itd. Nie wiem, kogo naśladuje Biegas, ale wiem, że takie „naśladownictwo" przyniosłoby zaszczyt nawet wielkiemu artyście. Jeżeli prawdą jest, że twórczość prawdziwie artystyczna ma w sobie coś z męki porodu, to rzeźby Biegasa znakomicie ilustrują tę prawdę. Popatrzmy na te twarze o zapadłych oczodołach, na te policzki modelowane jedną płaszczyzną, na te wygięte płaskie piersi o grubości deski, na te wężowato wijące się włosy, które sieką, jak deszcz rózeg, na te powykręcane dłonie, wpijające się w ciało ludzkie, na te kurczowo wyprężone ramiona, na te oczy, z których wygląda bezmiar smutku! Zazwyczaj, chcąc pochwalić rzeźby, mówi się: są, jak żywe! Ale tutaj dałoby się powiedzieć nieco więcej: te figury nietylko żyją, ale wprost krzyczą każdym kątem twarzy, każdem przegięciem ciała, każdem naprężeniem mięśni. Można powiedzieć o nich, że nie są skończone, ale trzeba przyznać, że są potężne. Nikt chyba dotąd nie dał nam w rzeźbie tak wielkiego złudzenia *stawania się* dzieła w oczach naszych. To nie są rzeźby — to są rzucone ogromne bryły, z których wykłębiają, wyrywają, wyłaniają się z męką dziwaczne kształty ludzkie — i wyrwać i wyłonić się zupełnie nie mogą czy nie chcą. W salonach Towarzystwa zachęty sztuk pięknych wystawił obecnie Biegas pięć nowych kompozycyj: „Wiatr," „Walka o byt," „Ból," „Noc" i „Studyum mężczyzny." Co za siła wyrazu, co za bogactwo pomysłów, co za głębia myśli twórczej! Niechaj sobie szuka kto w tych rzeźbach wykroczeń przeciwko technice i anatomii — ja wolę podziwiać ich piękność *).

w. s.

SPRAWY EKONOMICZNE

TRUSTY AMERYKAŃSKIE.

Mówiliśmy już, jak korsarze spekulacyi stopniowo opanowali przemysł i stworzyli wskutek ciągłej wędrówki milionowych i miliardowych kapitałów z jednego przedsiębiorstwa do drugiego, jedno wielkie niby akcyjne towarzystwo z nieograniczoną poręką. „Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich" — oto zasada ożywiająca świat trustów. Giełda, która początkowo miała swe własne cele i sprawy, stała się duszą tego świata. Był czas, kiedy na tronie bogactwa amerykańskiego zasiadali Astrowie i Vanderbiltowie, kiedy poszukiwacze przygód geszefciarskich spekulowali ziemią, skupywaną na wielką skalę i trzymaną w monopolu, aż do wzrostu renty i gęstości zaludnienia, oraz kolejami żelaznemi. Dalej nastąpiła „gorączka srebrna" kiedy odkryto kopalnie srebrnego kruszczu. Był to okres poszukiwania „białego króla," Mackaya. Przemysł jednak sam przez się stanowił dla spekulacyi nietykalne „tabu." Dopiero z rozkwitem trustow, wciągnięto go w wir szacherki i oszustwa. Ciągła spekulacya i gra na akcye, tak dalece są na porządku dziennym, iż akcyonaryuszowi mniejszemu grozi na każdym kroku niebezpieczeństwo utraty własności. Proces wabienia nowych kapitałów i pozbywania się ich gdy przychodzi do zysku i niespodziewanych zarobków, przybrał w Ameryce formy kunsztowne, o których ograniczona Europa pojęcia nie ma. Powstali specyaliści, którzy wykonywają za milionową zapłatę całą robotę, zaczynając od nawoływania i tumanienia mas, aż do wydzierania im akcyj i odprawiania ich z kwitkiem. Granica pomiędzy niecnym szulerem giełdowym a uczciwym kupcem i przedsiębiorcą, zupełnie się zatarła. W przeszłym roku „smart fellow," zuchowaty magnat przemysłowy Gates, za pomocą kilku zręcznych kunsztyków zrujnował jeden z największych trustów, dzięki czemu w mętnej wodzie oszustwa, wyłowił ryb na sumę kilkudziesięciu milionów dolarów. W Gates'ie opinia publiczna, głównie zaś zacna prasa, upatrują dziś, pomimo to, jedną z chlub Ameryki człowieka utalentowanego, a przedewszystkiem pracowitego i dzielnego.

Wytwórca gumy, Flint, okrzyczany niepoń, pozbawiony czci i wiary, należy do najdoskonalszych organizatorów trustów. Zachowawczy bankier, gardzący podejrzanymi interesami, rozgorączkowany nadzieją i olśniony widokiem przyszłych miliardów, puszcza się na najdziksze i najhaniebniejsze sprawki, którychby się powstydził nawet „Ein Lodzermensch."

Rozwój ten wywołał pod względem społecznym przewrót tak gwałtowny, iż jego napięcie i doniosłość możemy tu nakreślić tylko w ogólnych zarysach. U szczytu społecznego stoi kilkunastu miliarderów, których służba wraz z członkami rodziny stanowi ludność, składającą się z 30 tysięcy osób. Trzeba przytem pamiętać, iż miliarderzy cieszą się wogóle bardzo nielicznem potomstwem. Dalej, podług statystyki, sporządzonej przez *New-York Herald*, następują magnaci, liczący co najmniej po 10 milionów dolarów, czyli 20 milionów rubli. Tych ludzi „średnio-zamożnych" istnieje około 3 tysięcy. Milionerów pospolitych posiada Ameryka bez liku. Są to biedacy, którym nikt ręki nie podaje; czuje się dla nich pogardę jak dla niedołęgów, którzy nie potrafili energią, sprytem, przedsiębiorczością, a przedewszystkiem pracą zdobyć sobie stanowiska w społeczeństwie. Nigdy jeszcze cuchnący potem mizerak milionowy nie zgłosił się na członka do new-yorskiego klubu miliarderów, gdyż jako bezwstydnego paryasa, zrzuconoby go kopnięciem nogi ze wszystkich schodow. Nigdy jeszcze łapserdak taki nie odważył się osiedlić w otoczonej parkami dzielnicy miliarderów, chociażby dla tego, iż całego jego marnego miliona nie starczyłoby na zakup willi w okolicy prawdziwych dżentelmenów. Jeśli dać wiarę źródłom amerykańskim, to milionerzy zaatlantyccy noszą się z zamiarem wydania odezwy.

W tej odezwie będzie przedstawiona okrutna arogancya, z jaką miliarderzy pomiatają swymi „młodszymi braćmi." W razie gdyby odezwa ta, objaw sprawiedliwości społecznej, skutkowała, milionerzy będą zmuszeni albo zaprzestać dalszego nagromadzania pieniędzy, ze względu na to, iż wbrew opinii klasyka Roszera, cnota oszczędności, nie doznaje należytego wynagrodzenia, albo też będą musieli za przykładem starożytnego rzymskiego plebsu, opuścić niewdzięczną ziemię amerykańską. Wszak lepiej być w jakiejś europejskiej Koziej Wólce pierwszym, niż ostatnim w New-Yorku. „Kwestya milionerów," staje się coraz bardziej palącą wskutek nieustannego obrastania w pierze miliarderów. Carnegie oświadczył niedawno, iż nie wie, co ma począć ze swemi pieniędzmi. Łatwiej bowiem umieścić milion niż miliard. Już z tego powodu magnaci są zmuszeni szafować datkami na cele społeczne. Carnegie np. — zresztą najuczciwszy z nich — ofiarował w przeciągu kilku ostatnich lat 30 milionów dolarów na rozmaite instytucye, przedewszystkiem zaś na t. z. wolne biblioteki. Temu to filantropowi zawdzięczają swe powstanie owe słynne księgozbiory miejskie, zawierające strawę duchową dla najrozmaitszych kategoryj ludzi, zaczynając od szewckiego terminatora i zakochanej w Pol-de-Kok'u szwaczki, aż do sędziwego świecznika nauki, szperającego w grubych foliałach. A jednak gdy dyrektor Schwab, pobierający rocznie milion dolarów (2 miliony rubli) pensyi, zażądał podwyższenia wynagrodzenia przemysłowego półmilionowem personelowi, Carnegie wręcz odmówił, czemu przyklasnęli klakierzy prasowi całej Ameryki.

Opisywaliśmy niedawno na łamach *Prawdy* (w artykule p. t. Wekslarze a nauka), iż idealistyczna inteligencya Ameryki zażądała nieprzyjmowania w przyszłości milionowych datków od magnatów pieniężnych, gdy utrzymywane przez nich uniwersytety zwolniły z obowiązków na ich żądanie dwu profesorów, występujących przeciwko trustom i wyzyskiwaniu chińskich kulisów. W ostatnich czasach uczeni amerykańscy (np. prof. Schürman i Münsterberg) otwarcie wyrażają swe zdziwienie, iż pomimo milionów, sypanych jak z rękawa na naukę i jej instytucye, pomimo niezliczonych stypendyów oraz bibliotek, o których Europa pojęcia nie ma, Ameryka nie wydała ani jednego poważnego myśliciela, głębokiego filozofa, poety lub uczonego o wszechświatowym rozgłosie. (Wyjątek stanowią: fizyka i technologia). Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, iż geszefciarze tak dalece zarazili swe otoczenie miazmatami karyerowiczowstwa, że dla ludzi tworzących pod kątem widzenia wieczności w społeczeństwie ame-

---

*) Dzięki pomocy kilku ofiarodawców dawnych i nowych, młody artysta wyjedzie na dalsze studya do Paryża. *Red.*

rykańskiem miejsca niema. Hipoteza ta wydaje się nam wielce prawdopodbną. Pod opieką Mamona amerykańskiego, jak pod kopytami konia Attylowego, usycha wszelka trawa: kwitnie jeno zielsko prostytucyi—ciała i ducha.

Wszechwładne panowanie oligarchii trustowej, o którem nie będziemy się tu dalej rozwodzili, jest jedną z cech charakterystycznych Ameryki współczesnej. Drugi jej rys wybitny polega na bajecznym rozmachu i rozkwicie jej przemysłu oraz zapędach handlu wywozowego. Jest to sprawa tak żywotna dla naszej części świata, iż pozwolimy sobie fakt ten oświetlić szeregiem oschłych cyfr, aż nadto wymownych. Ameryka stała się obok Niemiec (o których tryumfach przemysłowych pisali-my obszerniej w swoim czasie), pierwszym mocarzem handlu międzynarodowego. Jej wywóz wynosił w przeszłym roku 12 miliardów dolarów. Podczas gdy w przeciągu ostatnich lat eksport niemiecki wzrósł o 50%, to Ameryka zdołała w przeciągu tego czasu spotęgować swe uczestnictwa w handlu europejskim o 80%. Europa na myśl o nowym rywalu uspakaja się tem, iż dotychczas zaopatrywał on rynek wszechświatowy tylko w materyały surowe; zdaje się jednak, iż wkrótce Ameryka rozszerzy zakres swej dostawy na niekorzyść Europy. Produkcya surowej bawełny, będąca niegdyś monopolem Stanów Zjednoczonych, z biegiem czasu wzrosła wdwójnasób i obecnie wynosi 5 miliardów funtów. Egipt wraz z Indyami i Ameryką Południową, nie zdobyły się dotychczas na piątą część tej sumy.

Wywóz zboża amerykańskiego, który tak boleśnie dał się we znaki Europie, wbrew przepowiedniom i oczekiwaniom ekonomistów, nie zmalał lecz przeciwnie, w ostatnich 4 latach wzrósł. W 1891—96 wynosił on 480 mil. buszli, w 1896 — 1900 zaś 545 mil. Zmiany na lepsze trudno się spodziewać. Wskutek ustawicznego udoskonalenia i zniżania kosztu środków komunikacyjnych, atak amerykański na rolnictwo europejskie nie osłabnie. To samo dotyczy nierogacizny i mięsa. Możemy tu stwierdzić wzrost wywozu z 13 mil. dolarów na 43 mil. i z 93 mil. do 184.

Współzawodnictwo rolnicze Ameryki jest starą bolączką, do której Europa zdołała się stopniowo przyzwyczaić, jakkolwiek nie przezwyciężyła jej po dzień dzisiejszy. Historya tego współzawodnictwa jest zarazem historyą ruiny i upadku rolnictwa europejskiego, a tylko w części jego postępu. Najazd trustów przemysłowych na rynki europejskie będzie stanowił nową kartę w dziejach przemysłu naszej części świata. Rozdział ten będzie opowiadał o zapasach dwu cywilizacyj, zapasach krwawych i decydujących.

Dotychczas tylko przemysł żelazno-stalowy rozbudził czujność Europy. Wytwór surowego żelaza wynosił w Ameryce przed laty 20 zaledwie 2 mil. tonn; obecnie zaś wyrabia ona żelaza w ilości 13 mil. tonn. W przeciągu krótkiego czasu Ameryka zajęła pod tym względem pierwsze miejsce pomiędzy swymi rywalami. Z produkcyi wszechświatowej przypadają na udział Stanów Zjednoczonych 34%. Anglia dostarcza na rynek międzynarodowy 23%, Niemcy 20%, Rosya 7 a Francya 6%.

Zupełnie niespodziewanie dla Europy wysunęła się Ameryka w ostatnim roku na plan pierwszy, jako dostawczyni węgla kamiennego. 34% tego produktu pochodzi na rynku wszechświatowym ze St. Zjednocz., 33% z Anglii a 20% z Niemiec. Co do przyszłego stanowiska węgla amerykańskiego na rynku europejskim, zdania ekonomistów, co prawda, są sprzeczne. Ale przed najazdem amerykańskiego żelaza może Europę uratować tylko cud. Statystyka stawia na tym punkcie naszej części świata bardzo smutne horoskopy. Przed 20 laty Ameryka Północna wwoziła z Europy stali i żelaza na 71 ilionów dolarów; jeszcze w 1890 roku bilans w tej dziedzinie przechyla się na stronę Europy. W 1892 r. następuje stan równowagi, a od tego czasu Ameryka posuwa się krok za krokiem po swej zwycięskiej drodze. Również bajeczne rozmiary, jakkolwiek może tylko wskutek przypadkowych i przemijających przyczyn, przybrał wywóz amerykańskich fabrykatów miedzi.

Wogóle ze wstydem trzeba wyznać, iż Ameryka sprawiła starej części świata ogromnie niemiłą niespodziankę. Współzawodnictwo zboża amerykańskiego było faktem zrozumiałym i jasnym jak na dłoni. Niezmierzone obszary dziewiczej gleby i wolnej niezajętej ziemi amerykańskiej, wzięte pod uprawę przez farmera amerykańskiego, wywołały przewrót w rolnictwie europejskiem. Renta gruntowa, która aż do r. 1880 szła nieustannie w górę, odrazu zaczęła spadać. Nikt jednak nie przypuszczał, iż wybije kiedyś godzina tryumfów amerykańskich na polu przemysłu przetwórczego. Płaca robocza jest o wiele wyższą w Ameryce, niż w Europie, Stany Zjednoczone odgradzały się szczelnie od Europy, obawiając się jej współzawodnictwa, a tymczasem Mac Kinley już w ostatniej swej mowie programowej zaznaczył nową erę handlową dla swej ojczyzny. Obronna taktyka przemysłu amerykańskiego miała się zmienić na zaczepną.

Urywając nić dalszych wywodów na temat zgoła nieobojętny dla dobrobytu Europy, możemy ostatnie pięciolecie Rzeczypospolitej Zaatlantyckiej scharakteryzować jako okres rozpanoszenia się oligarchii trustowej oraz przygotowań do zaborczej polityki handlowej na wielką skalę.

H. Forszteter

NA MARGINESIE.

Bojkotowanie Anglii. Związki maszynistów oraz robotnicy, pracujący w dokach amsterdamskich, postanowili zmowę przeciw Anglii, która może mieć bardzo doniosłe dla tego państwa następstwa. Wydali oni odezwę do wszystkich kolegów, w organizacyi związkowej lub po za organizacyą stojących, wzywając ich do solidarnego wystąpienia w odmowie wszelkiej usługi okrętom angielskim do portu zawijającym. Statek, płynący pod flagą W. Brytanii, nie dostanie robotnika do naładowania lub wyładowania towarów, dopóki z Boerami pokój nie będzie zawarty. I nietylko sami Holendrzy do zmowy przystąpić mają: odezwę zamierzają rozesłać do miast portowych wszystkich krajów i wezwać robotników portowych wszelkich narodowości do wspólnego działania. Anglia, jak mówią, zostanie tym sposobem dotknięta w swej najdrażliwszej sprawie, „a my, robotnicy, choć narazimy się na straty materyalne, pokażemy światu, jak bardzo pragniemy, ażeby się wojna skończyła.“ Wezwanie podpisali przewodniczący ośmiu najpoważniejszych związków robotniczych w Amsterdamie. Do 31 grudnia r. b. dają Anglii czas do zawarcia pokoju z rzeczpospolitemi afrykańskiemi Jeśli wojna dalej trwać będzie, z d. 1 stycznia 1902 r. zmowa działać zacznie.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne W Petersburgu powstaje Towarzystwo, którego celem będzie udzielanie pomocy w wyjednywaniu przywilejów na wynalazki i pośrednictwo między wynalazcami a przedsiebiorcami.

— Stowarzyszenie inżenierów cywilnych w Petersburgu opracowało nowy projekt ustawy, dotyczący tytułu „powiatowego technika budowlanego,“ zamiast istniejącego dotychczas tytułu technika, dającego prawo do prowadzenia robót budowlanych.

— Przy petersburskiem katolickiem Towarzystwie dobroczynności powstaje biuro bezpłatnej porady prawnej dla Polaków niezamożnych.

Szkoły. W Niemczech wyszło nowe rozporządzenie ministra oświaty, pozwalające tylko tym poddanym rosyjskim wstępować do politechniki berlińskiej, którzy okażą dowody, że uczęszczali już do wyższego zakładu technicznego w Rosyi lub że do niego byli przyjęci. Nie podlegają ograniczeniom poddani niemieccy ze świadectwami dojrzałości, wydanemi przez gimnazya rosyjskie. Egzaminy wstępne zniesione. Jako wolni słuchacze cudzoziemcy nie będą przyjmowani na wydział mechaniczny, na inne — tylko w razach wyjątkowych.

— Ministeryum oświaty rozesłało do kuratorów okręgów naukowych projekt przekształcenia średnich szkół technicznych na siedmioklasowe szkoły realno-przemysłowe.

— Rozpoczęto w Odesie przygotowania do założenia zaprojektowanej przez kuratora okręgu naukowego szkoły elektro-technicznej, z oddziałem dla robotników pełnoletnich.

— Przy końcu roku zeszłego generał-gubernator warszawski polecił gubernatorom, aby zajęli się wszechstronnem zbadaniem, dlaczego magistraty miast tak mało wyznaczają sumy na rzecz wykształcenia początkowego. Z wiadomości dostarczonych w tej sprawie gubernatorowi warszawskiemu przez naczelników powiatowych i burmistrzów pokazuje się, że w siedmiu miastach gub. Warszawskiej: Nowym Dworze, Nowomińsku, Mszczonowie, Grójcu, Gostyninie, Pułtusku i Nasielsku, sprawa szkół początkowych znajduje się w stanie zadawalającym, w pozostałych 13 miastach wymaga polepszenia. Z tej grupy miast magistraty Kutna, Kałuszyna, Zakroczymia, Warki i Nieszawy, powołując się na ubóstwo kas miejskich, stanowczo odmawiają jakichbądź zapomóg dla szkół, inne zaś miasta wyraziły chęć ich powiększenia Urząd gubernialny warszawski jest zdania, że wobec ubóstwa większej części miast gub. Warszawskiej, niepodobna polepszyć obecnego stanu szkolnictwa początkowego kosztem funduszów miejskich, bez rzeczywistego obciążenia mieszkańców.

Zdrowie publiczne. Senat rządzący, rozpatrując w pewnej prywatnej sprawie pytanie: czy lekarz, powołując się na swoje obowiązki służbowe, jak np. dyżur w szpitalu, ma prawo odmówić pomocy w razie wezwania do chorego niebezpiecznie— dał odpowiedź przeczącą.

— Departament medyczny zamierza przekształcić dozór nad lecznicami prywatnemi, domami zdrowia itp.; w tym celu zażądał od urzędów lekarskich wiadomości o liczbie lecznic prywatnych w danym okręgu, ich gospodarce wewnętrznej, lekarzach ordynujących, wydawaniu lekarstw, instrumentach i narzędziach lekarskich, o kosztach utrzymania chorego itp.

— Pod wpływem zeszłorocznego kongresu brukselskiego w sprawie chorób wenerycznych utworzyło się we Francyi towarzystwo w celu zapobiegania chorobom fizycznym i moralnym, „Societe française de prophylaxie sanitaire et morale.“ Profesor Alfred Fournier, przewodniczący Towarzystwa, miał odczyt w klinice chorob wenerycznych w którym wyjaśnił zadanie i cele Towarzystwa W zasadzie jest ono za utrzymaniem „prostytucyi uregulowanej,“ tylko domaga się bardziej „ludzkiego i uczciwego“ regulaminu.

Poczta. Według wyjaśnienia departamentu poczt i telegrafów, jeżeli na kartach pocztowych z widokami znajduje się coś więcej, prócz adresu, podpisu i daty, to karty takie ulegają opłacie 3 kop. w kraju i 4 kop., jeżeli adresowane są za granicę; jeżeli zaś zawierają tylko podpis, adres i datę, powinny być wysyłane jako przesyłka pod opaską za opłatą 1 kop. w miejscu i 2 kop. na prowincyę lub za granicę, z warunkiem jednak przekreślenia na nich wyrazów „karta pocztowa“ i zastąpienia ich napisem „druk.“ Według wymagań przepisów pocztowych międzynarodowych, na przeznaczonych do wysyłki za granicę kartach pocztowych znajdować się powinien napis „Carte postale.“

Służebności. Przy ministeryum spraw wewnętrznych rozpocznie wkrótce swe prace komisya, której powierzono sprawę uregulowania serwitutów w kraju zachodnim i południowo-zachodnim, gdzie

sprawa służebności jest więcej zawikłana, niż w Królestwie Polskiem. Projekt wykupu serwitutów w kraju naszym już jest wniesiony do Rady państwa, lecz rozpatrywany ma być później.

Zjazdy W ministeryum rolnictwa podniesiony został projekt zwołania w Petersburgu zjazdu przedstawicieli gospodarstw mleczarskich, w celu rozpatrzenia niektórych spraw, dotyczących rynków zbytu nabiału, ulg w przewozie itd., a mających na celu rozwój tej gałęzi przemysłu.

Zjazd pszczelarzy z całego państwa otwarty będzie w Petersburgu d. 17 listopada r. b.

Cło na książki. Wiedeńska Izba handlowa i przemysłowa postanowiła poprzeć żądanie krakowskiej Izby handlowej, wystosowane do ministeryum handlu o interwencyę u rządu rosyjskiego w celu zniesienia cła od książek polskich, drukowanych za granicą Rosyi.

Ze sztuki. W Krakowie otworzono nową szkołę sztuk pięknych i przemysłu artystycznego dla kobiet. Kierunek szkoły objęli malarze Włodzimierz Tetmajer i Jan Bukowski, a kilku profesorów uniwersytetu i publicystów krakowskich objęło wykłady przedmiotów z zakresu sztuki i związek z nią mających.

— Ze składek prywatnych wykonany został pomnik z napisem: „Pamięci Heinego — wolnomyślny Wiedeń,“ przeznaczony na grób poety na cmentarzu Montmartre w Paryżu.

Pełnomocnictwa. Ministeryum skarbu wyjaśniło, iż pełnomocnictwa, udzielane przez gospodarza jego służącemu, lub osobie prywatnej, albo przez związek roboczy jego członkowi na otrzymanie pieniędzy z banku, sklepu itp. instytucyi, nie podlegają opłacie stemplowej.

Spadki. Senat uznał dziesięcioletni termin od śmierci zapisodawcy za przedawniony dla otrzymania spadku; tylko w razach wyjątkowych można liczyć przedawnienie od czasu ostatniego ogłoszenia, wzywającego spadkobierców.

Koleje i komunikacye. W ministeryum komunikacyj podniesioną została sprawa opracowania stałych przepisów co do wynagradzania podróżnych za odniesione kalectwa podczas katastrof kolejowych. Jednym z głównych warunków ma być zupełne skasowanie jednorazowych odszkodowań a ustanowienie rocznej pensyi dożywotniej lub do określonego czasu. Takie samo odszkodowanie otrzymywać mają spadkobiercy w razie śmierci podróżnego. Przepisy te będą miały moc prawa wstecz.

Rolnictwo. *Gaz. Polska* donosi, iż kilku właścicieli ziemskich zwróciło się do ministeryum rolnictwa z prośbą o pomoc w zakładaniu w pewnych punktach kraju stacyj doświadczalnych na wzór sobieszyńskiej. Pomoc miała polegać na wyznaczeniu pod stacyę pewnej przestrzeni gruntu skarbowego, drzewa na budowle, oraz zapomogi na przedmioty i narzędzia rolnicze. Departament rolnictwa odpowiedział, że żądanie będzie uwzględnione, jeżeli stacye doświadczalne służyć będą do użytku nietylko właścicieli większych posiadłości, lecz także mniejszych oraz włościańskich.

— W celu rozpowszechnienia motorów naftowych w rolnictwie, powstał projekt zniesienia cła na te maszyny.

— W ministeryum rolnictwa roztrząsana jest obecnie sprawa założenia w państwie wyższej szkoły mleczarstwa, na wzór takiegoż zakładu istniejącego w Finlandyi. Ma ona powstać w miejscowości, gdzie mleczarstwo doszło do najwyższego stopnia rozwoju.

Przemysł i handel. Ustanowioną została komisya w celu rozpatrzenia sprawy zamiany rosyjskiej monety miedzianej na aluminiową.

— Właściciele kaukazkich źródeł nafty organizują wielki syndykat dla wspólnego wywozu produktów naftowych za granicę.

— W Austryi, w fabrykach wyrobów z masy perłowej, robotnicy w porozumieniu z fabrykantami zorganizowali bezrobocie w celu zmuszenia handlujących do podwyższenia cen tego towaru.

Zmarli. Bohusław Schnirch, wybitny artysta-rzeźbiarz czeski.

Odpowiedzi Redakcyi

Pani R. C. O. O tem dziele Maeterlincka była już krótka wzmianka w *Prawdzie* parę miesięcy temu, zaraz po ukazaniu się książki w handlu. Z rękopisu przysłanego i proponowanego tłomaczenia korzystać nie możemy.

Literatowi. Rzym za Nerona, Quo Vadis.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 4 Октября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8